

ISABELLE DESESQUELLES

Pamiętam wszystko

Tytuł oryginału: Je me souviens de tout

Przełożyła Karolina Bober

DOM WYDAWNICZY BELA MED.

Krosno 2007



*Wydałem tę książkę dla Osoby
która obdarzyła mnie dobrocią
T.*

PROLOG

Dwadzieścia lat, aż dwadzieścia lat rozłąki. To wystarczająco dużo czasu, by nadzieja zdołała pokonać rozpacz, a wspomnienia pozwoliły zapomnieć o stracie. Kiedy otworzysz drzwi tego pokoju, Lucasie, nie będę mogła się podnieść.

Włożyłam chustkę, nie mam już włosów. Może nie zorientujesz się od razu, może zobaczysz tylko mój uśmiech. Nie potrafię skupić wzroku na niczym oprócz tych drzwi. Dziś do mnie wrócisz; nie chcę nas pozbawiać ani jednej wspólnej sekundy. Chcę przeżyć ten czas w zwolnionym tempie, żeby wymazać te dwadzieścia lat bez ciebie. Pragnę całego życia, które nie było nam dane. Będziemy milczeć; tylko łzy, które popłyną mi z oczu, powiedzą ci, jak bardzo chciałabym znów być dzieckiem, żebyś wziął mnie w ramiona i wyrwał z tego pokłutego ciała. Nie otworzyłeś jeszcze drzwi, a już jestem z tobą. W dużym domu, naszym królestwie. Stodoła zawaliła się po zbyt wielu zimach, które upłynęły bez naszych radosnych głosów. Chyba zwariowałam, ale mam wrażenie, że czuję zapach świeżej słomy. Czy naprawdę mogę jeszcze zaznać tamtego szczęścia?

Nasz potok nadal płynie; nie brakuje w nim ani jednego chybotliwego kamienia.

Ostatni raz, kiedy tam byłam, omal nie wpadłam do wody. Szłam przed siebie, skoncentrowana na wspomnieniu naszych małych, zmarzniętych ciał i mojej zaróżowionej od zimna skóry. Woda była lodowata i przyciągała jak magnes. Tak bardzo się cieszę z naszego spotkania. Zaczniemy żyć od nowa, nadal niewinni. Wiedząc, że do mnie wracasz, oddycham naprawdę.

Unoszę się trochę i wysuwam spod koca, czekam na ciebie z podniesionym czołem. Słyszę twoje kroki w korytarzu i nie jest to już tylko pragnienie, lecz nasza wspólna rzeczywistość.

1.

Ktoś, kto leży unieruchomiony, wyostrza słuch, żeby zastąpił mu wzrok. Najcichszy szelest nie ujdzie jego uwagi. Przez cienkie ściany słyszę odgłosy codziennej krzątaniny, słowa przebaczenia i wyznania. Życie sąsiadów pochłania dużą część mojego czasu. Dzięki temu zapominam o samotności, o całych tygodniach bezbarwnych dni. Umiem już zgadnąć, że za chwilę wyczerpana chorobą staruszka z piątki przejdzie obok moich drzwi, opierając się na balkoniku.

Żeby się jakoś rozerwać, wymyślałam sobie różne historie. To było przed dzisiejszym rankiem, zanim doręczono telegram od ciebie. Teraz mogę opowiedzieć piękną prawdę.

Miałam osiem lat. Otaczały mnie wzgórza - prosiły, bym się na nie wspięła - konie, których mogłam dosiąść, pola do biegania w nieskończoność. Rzucałam wyzwanie światu, wybuchając śmiechem. Tak było, zanim w moje życie wkroczyła powaga. Brutalnie. Nieodwracalnie. Czekam na ciebie, Lucasie, ale nie mogę odpędzić myśli o matce. Wyobrażam sobie twoją twarz za drzwiami, lecz zaraz pojawia się ona.

Nie potrafię już nazywać jej mamą, mówię „ona” lub „matka”.

Jej wakacje dobiegły kresu. W środku nocy skończyła wysypywać kamyczkami ścieżkę prowadzącą z domu do drewnianej budki, naszej ubikacji. Koniecznie chciała to zrobić przed wyjazdem. W ciemności przeniosła wiele wiader, ciężkich od tysięcy kamyków, i dopiero wtedy położyła się spać.

Czekała ją długa powrotna podróż pociągiem: dużo stacji, skajowe siedzenia przyklejające się do nieosłoniętego ciała. Matka wyjeżdżała, a ja bardzo się cieszyłam, że spędzę z tobą jeszcze tyle tygodni. Wracala sama. Czy było jej z tego powodu przykro? Szczęście przeżywa się egoistycznie; za bardzo pochłaniały mnie myśli o naszych przyszłych zabawach, żebym martwiła się o nią. Nie taka jest rola dziecka. Gdy się oddalała, ogarnęło mnie dziwne uczucie, jakby ulga. Oczywiście kochałam matkę, ale choć jeszcze nie zdawałam sobie z tego sprawy, przytłaczała mnie. Przytłacza do dziś.

Wstaliśmy po cichutku, żeby jej nie obudzić, i przygotowaliśmy wszystko do uroczystego otwarcia ścieżki. Żeby moja matka miała niespodziankę. Nie tylko ona jeszcze spała. Słyszałam miarowy oddech Paule i jej przyjaciółki Fanny. Paule była twoją matką,

siostrą mojej. Trzy kobiety - cztery, licząc mnie - i jeden mężczyzna, a raczej jedenastoletni chłopiec, ty, Lucasia. Miałam osiem lat, więc wydawało mi się to normalne i właściwe. W rzeczywistości wcale tak nie było. Wyjeżdżając beze mnie, matka zostawiła nas razem w dużym domu, wśród łąk ciągnących się po horyzont, na „drodze trzech kamyków”, jak nazwała ścieżkę. Poprzedniego dnia, gdy nosiliśmy wiadra, po brzegi wypełnione kamykami, zapytałam ją, skąd ten pomysł. W odpowiedzi tylko spojrzała na mnie z tym swoim nowym uśmiechem na ustach. Nie podobał mi się: to był uśmiech nieobecnej osoby. Ostatnio powracał coraz częściej.

W przeddzień jej wyjazdu połączyła nas nowa zabawa: wypełnianie kolejnych wiader kamykami, a potem wysypywanie ich w chmurze pyłu, z okrzykami radości. Ze śmiechu prawie nie mogła oddychać. Jej wychudzone ramiona wydawały się twarde jak stal. Patrzyłam, jak się napinały, gdy niosła pełne wiadra. Myślałam, że jest bardzo silna.

Nazwa „wygódka” nigdy nie wydawała mi się trafniejsza. W zależności od tego, kiedy się do niej szło, przez szpary między deskami przeświecały promienie słońca lub księżyca. Chodziliśmy tam chętnie, urzeczeni świergotem ptaków, przyrodą wokół i wrażeniem, że otacza nas niebo. Nocą przyświecaliśmy sobie kieszonkową latarką. Tylko w zimie, gdy temperatura spadała poniżej zera, załatwialiśmy się do nocnika; zresztą cały rok trzymałam go pod łóżkiem, żeby o świcie, prawie przez sen, szybko robić siusiu i znów kłaść się przy tobie.

Szukając najpiękniejszych kwiatów na łące przed domem i wybierając te najtrwalsze, starałam się nie dotykać pokrzyw. Bałam się opóźnionego pieczenia: z początku nic nie czułam, już myślisz, że tym razem się udało, ale zaraz zaczyna swędzieć i szczypać. Nawet w środku lata nosiłam długie skarpetki, żeby chronić się przed pokrzywami, zwłaszcza tymi przy murku, na którym godzinami opalała się matka.

Teraz widzę jej filigranowe ciało; z zamkniętymi oczami cieszyła się promieniami słońca.

Całe ranki czekałam na porę obiadową, żeby iść po matkę.

Wołałam ją cicho, skradałam się, podchodziłam coraz bliżej, aż wreszcie przytuliłam się do jej nieruchomego ciała. Uwielbiałam kłaść głowę na jej brzuchu; dotykając policzkiem nagiej skóry, czułam słodkie ciepło. Opalała się w samych majtkach, bez stanika. Była piękna jak posąg, lekko drżała na wietrze. Te chwile sprawiały mnie i matce ogromną przyjemność.

- Powinnaś się trochę zasłaniać - stwierdziła kiedyś z niepokojem Paule. -
Przynajmniej piersi. Rolnicy oburzą się, że jesteś nieprzyzwoita.

- Ty mi mówisz o przyzwoitości?

Paule nie odpowiedziała. Na jej drobną wymówkę moja matka zareagowała wielkim

gniewem. Zawsze w takich chwilach mówiła cicho, co jeszcze podkreślało złość.

Paule nie odzywała się do siostry przez dwa dni. Nawet Fanny przestała się uśmiechać. Moja matka lubiła chodzić nago... i co z tego? Zresztą bez ubrania jeszcze piękniej wyglądała na tle łąki.

Podobało mi się jej smukłe ciało i stopy malutkie jak moje dłonie. Miała nadgarstki dziewczynki. Razem kupowałyśmy ubrania. Dzięki mnie mogła się ubierać w sklepach dla dzieci. Dopiero dziś zdaję sobie sprawę, jak bardzo mi to przeszkadzało.

Przecięliśmy wstęgę, a właściwie sznurek, na inaugurację drogi trzech kamyków. Szampan, cydr i okrzyki radości.

Polne kwiaty. Zrywając je, matka zabrała ze sobą kawałek łąki, więc - jak myślałam - czuła się mniej samotna.

A ja miałam zostać z tobą! Dała mi dwa kamyczki, jeden dla mnie, drugi dla ciebie. Trzeci włożyła sobie do kieszeni.

- To żebyś nigdy nie zgubiła drogi - powiedziała.

Choć jeszcze nie wyjechała, myślałam tylko o tym, jak będę biegać boso po kamykach. Krzyknęłam jej: „Do zobaczenia wkrótce!”, już się ciesząc, że cię prześcignę. Byłam daleko, kiedy usłyszałam odpowiedź: „Do zobaczenia wkrótce!” Nie powiedziałam jej: „Żegnaj”.

2.

Rozległ się głuchy, długi grzmot i zrobiło się ciemno jak w nocy. Już nie zbierało się na burzę: nawałnica ogarnęła całe niebo i porwała dwoje dzieci.

Uczepiona twojego nadgarstka, kręciłam z tobą młynka tak szybko, że omal nie zgubiłam buta. Jeszcze kilka obrotów, a spadnie. Może podkurczając palce u nogi, zdołam zyskać jedno czy dwa kółka. Trzymałeś mnie mocno. Kiedy przyśpieszyłeś, rzuciłam ci wyzywające spojrzenie i zobaczyłam twój uśmiech. Nasze okrzyki radości wzbijały się aż do nieba, wibrowały w przestworzach.

Znów zagrzmiało, jakby ktoś uderzał w bębny, błyskawice przecięły mrok, z nieba lunął deszcz. Zatraceni w nieskończoności, nie baliśmy się niczego. But w końcu mi się zsunął, złapałeś mnie jeszcze mocniej, czułam bicie twojego serca. Bardzo silne! Zapomniałam o wszystkim, co nas otaczało, miałam dziwne poczucie, że zagubiłam się i odnalazłam jednocześnie.

Lało jak z cebra. Deszcz wsiąkał w ziemię, zatapiał nas; włosy przyklejały mi się do policzków, po dekolcie płynęły zimne krople. Niebo w ustach, ziemia pod bosymi stopami... Byłam boginią, która urzeka i zniewala. Nie wiedząc nic o Olimpie, rządziłam tam. Nie zaznałam jeszcze strachu ani cierpienia, miałam siłę ośmiolatki, potęgę dziecka.

Obejmowałeś mnie spokojnie. Nic sobie nie robiłeś z gwałtownych porywów wiatru ani z potoków deszczu spływających po twoich ramionach. Ziemia miękła pod naszym ciężarem, pięty zapadały się coraz głębiej. Wysunęłam się z twoich objęć, żeby podnieść but. Odchodząc, już cieszyłam się, że wrócę.

Woda wydawała się przenikać przez naszą skórę i docierać aż do mięśni. Rzuciliśmy wyzwanie szalejącej wokół nas burzy, na własnym ciele poczuliśmy jej brutalność. Chcąc włożyć but, w strugach deszczu podeszłam do ogrodzenia z drutu kolczastego, żeby się przytrzymać.

Do dziś przeszywa mnie dreszcz na wspomnienie niewidzialnej siły, która przykuła mnie do stalowego drutu. Poczulałam ból w całym ciele, jakby mnie coś pochwyciło, miałam wrażenie, że w moich żyłach płynie paraliżujący prąd. Szarpałam się ze wszystkich sił, próbując uwolnić rękę, uciec od tego bólu.

Dostrzegłeś moje przerażenie, podbiegłeś, już chciałeś mnie dotknąć. Cofnąłeś się

jednak.

- Ratuj mnie! Nie odchodź! - wrzasnęłam.

Dotykając mnie, sam czułeś ból. Twoją rękę porażał prąd, trzęsła się. Trzymałeś jednak mocno, wbiłeś paznokcie aż do krwi, w końcu odciągnąłeś mnie od ogrodzenia.

Zlani zimnym potem, długo drżeliśmy. Przytuleni.

Gdy odzyskaliśmy oddech, zobaczyliśmy Paule i Fanny; wracały ze spaceru. Były przemoknięte. Widząc nas, leżących w błocie, zaczęły krzyczeć.

- Co się tu dzieje? Jak wy wyglądacie! Wstańcie natychmiast! No już!

- Lucas mnie uratował. Omal nie umarłam, ale on mi pomógł. Patrzcie, krew mi leci z ręki!

Opowiedziałam o twojej odwadze i o drucie kolczastym, który trzymał mnie, jakby był żywy. Plątał mi się język, śmiałam się z ulgi i podniecenia. Przeżyłam przygodę. Paule naląła trochę śliwownicy na kostkę cukru. Pierwszy raz w życiu dostałam alkohol. Ty, starszy ode mnie o trzy lata, od dawna cieszyłeś się tym przywilejem. Przestałam być zwykłą dziewczynką, zostałam bohaterką. Czy się upiję? Dygotałam i paliło mnie w środku, śliwowica wyścielała moje usta, stały się miękkie, inne. Gadałam jak najęta, a wy się uśmiechaliście. Czyli niebezpieczeństwo minęło?

3.

W dużym domu najbardziej podobały mi się miejsca nieprzeznaczone do mieszkania. Najchętniej przesiadywaliśmy w stodole pełnej słomy, której źdźbła zawsze wbijały mi się we włosy.

Byłam leciutka. Kładłam się na pękach falistej, połyskującej słomy.

Lubiliśmy się tam chować, niewidzialni dla wszystkich poza sobą nawzajem. Rozkoszowaliśmy się milczeniem, wsłuchiwalismy w ciszę, wstrzymując oddech. Gładziłam twoją skórę, puszczać wodze wyobraźni. Palcami mówiłam to, czego nie wypowiadałam ustami. Snułam opowieści o gniadych koniach i smukłych zabójczyńiach. Przemierzaliśmy w nich stepy i pustynie, świat był nasz, tylko dla nas kręciła się ziemia. Czas płynął spokojnie, bez lęku ani zniecierpliwienia.

Następnego dnia po burzy miałam ranę na dłoni i tyle do opowiadania matce! Rozpierała mnie duma: piłam alkohol, ty byłeś dzielny, dzięki tobie przeżyłam. Chciałam jej to wszystko powiedzieć. Tuż po przebudzeniu wyskoczyłam ze swojego łóżka i wślizgnęłam się do twojego, zaledwie dwa kroki obok. Położyłam się, by śnić wspólnie z tobą. Co rano tak się bawiliśmy: szeptałam ci do ucha, łaskotałam cię i głaskałam, a ty leżałeś nieruchomo, bez słowa, udając, że śpisz. Tylko leciutkie drzenie rzęs zdradzało, że się obudziłeś.

Potem wstawałam, kuciałam nad nocnikiem i długo siusiałam. W ten sposób ci się oddawałam. Wreszcie czułam na sobie twoje spojrzenie.

- Jeszcze w piżamie! Dlaczego nie chodzisz do wygodki na dworze? Słońce już wstało. Pokaż rękę... w porządku, już się goi. Laure, ubierz się szybciotko i wypij czekoladę. Pójdziemy do wsi, żeby zadzwonić do mamy. Będzie czekać na nasz telefon o jedenastej. Tylko nic jej nie mów o tym, co stało się wczoraj.

- Ale, Paule...

- Żadnych ale. Nie ma sensu jej niepokoić, przecież jutro wracamy. Kiedy zobaczy cię całą i zdrową, zdązysz jej wszystko opowiedzieć. Znam moją siostrę, zawsze zamartwia się o drobiazgi. Nie rób takiej miny. Przecież jesteś już duża. Kiedy się pije śliwownicę...

Mówiła dalej, ale ja przestałam słuchać. Z Paule nie było żartów. Pocieszałam się, że zobaczę matkę już następnego dnia, więc rana na dłoni nie całkiem się jeszcze zagoi. Najbardziej pragnęłam, żebyśmy zamieszkali we trójkę: ja, matka i ty. Oczywiście

spotykałibyśmy się z Paule i Fanny, ale nie codziennie. Niczego się nie bałam. W tym wieku wszystko wydaje się proste.

Moje życie z matką było jak w książkach: siedząc na podłodze, jadłyśmy z talerzy i czarek tak małych, że mieścił się w nich tylko jeden kęs. Nigdy się nie najadałam, za to zabawa była świetna. W niedziele wylegiwałyśmy się w jej łóżku.

- To łóżko jest jak berberyjski dywan - mawiała. - Możemy tu spędzić całe życie.

Życie wyobrażałam sobie zawsze tak samo: z tobą. W marzeniach byłam twoją żoną; oczywiście mieliśmy dużo dzieci. Takie myśli dawały mi pewność siebie, spokój i szczęście.

4.

Bardzo długo sądziłam, że mój ojciec mieszka na księżycu. Do dziś, patrząc w niebo, myślę o nim, o tej wielkiej tajemnicy.

Obserwowałam, jak księżyc rośnie i maleje, jego kształt widziałam wszędzie: w rogaliku na śniadanie, w ulicznych latarniach przy naszym domu, w agatach, które wygrałam albo przegrałam w kulki. W czasie pełni nie spałam całymi nocami, z determinacją wpatrując się w jego tarczę. Była wielka. Myślałam, że znajduje się blisko ziemi, więc na pewno zdołam dostrzec ojca. Niestety nie miałyśmy teleskopu, tylko starą, ciężką lornetkę; kiedy ją trzymałam, bolały mnie ręce.

Słuchałam i obserwowałam. Zapamiętywałam wszystko: twardość w głosie matki, kiedy wypowiadałam dwie sylaby składające się na słowo „tata”, wymianę zażenowanych spojrzeń pomiędzy Paule i Fanny, gdy chciałam się od nich dowiedzieć czegoś o moim ojcu, wreszcie twoje milczenie i minę pełną żalu. Ciebie też los nie rozpieszczał, chociaż, w przeciwieństwie do mojej, twoja metryka urodzenia nie zawierała słów „ojciec nieznan”. Znałeś jego nazwisko - ale nie wiedziałeś nic więcej. Bardzo z tego powodu cierpiełaś.

- Owszem, znam nazwisko ojca - powtarzałeś często. - Jest takie samo jak moje. Ale nazwisko nic nie znaczy. Ty masz w życiu mężczyznę, mnie. A ponieważ jestem od ciebie starszy, mógłbym nawet udawać twojego tatę. Brakuje mi kogoś takiego.

Wyobrażałeś sobie, że twój ojciec miał długie, szczupłe palce pianisty.

Zapytałeś Paule, czy grał na fortepianie. I trach!

- Myślisz, że fortepian, na którym grasz, spadł z nieba?

Ale dlaczego nasze matki chciały wyprawić naszych ojców ad patres?

Paule nie chciała rozmawiać. Nie dopuszczała do siebie żadnych emocji, które mogłyby ją poruszyć. Przypominała rozbitka. Przetrwiała, ale nie uodporniła się na ból. Była zamknięta w sobie i bardzo wrażliwa. Zachowywała się niezmiennie: zawsze broniła się przed cierpieniem innych ludzi. Za wszelką cenę.

Natomiast gdy pytałam matkę, jak długo jeszcze mój ojciec będzie wracał z księżycu, czułam się, jakby wyszła z pokoju. Choć się nie poruszyła, nie było już jej przy mnie.

Jakby podążała za jakimś cieniem, który był daleko przed nią, a raczej daleko za nią. Za daleko.

W wieku ośmiu lat buntowałam się przeciwko Paule, Fanny i mojej matce, trzem zranionym kobietom walczącym z mężczyznami. Nie potępiałam ich jednak. Na szczęście był przy mnie ktoś, kto właśnie przechodził mutację i miał na imię Lucas.

Matka nie odpowiadała także na pytania dotyczące twojego ojca, patrzyła tylko nieobecny wzrokiem. O, nie, nie lubiłam tego spojrzenia. Paraliżowało mnie; to było spojrzenie ofiary. Podchodziłam wtedy do matki i obejmowałam ją mocno, nie tylko przytulałam głowę do jej brzucha, ale oddawałam jej całe serce.

Staralam się być grzeczną, wzorową córką, żeby nie pogrążyła się w smutku i przestała błędzić gdzieś myślami.

Zresztą z przyjemnością uwierzyłam, że ojciec mieszka na księżycu. Mogłam go wypatrywać prawie co noc. Nawet gdy niebo się zachmurzyło, i tak wiedziałam, że jest niedaleko.

W gruncie rzeczy miałam ojca i go nie miałam; bardzo mi to odpowiadało. Gdyby mieszkał z nami, matka spędzałaby mniej czasu u swojej siostry, więc ja rzadziej widywałam się z tobą.

Pewnie chciałby też zdecydować o tym, dokąd wyjeżdżać na wakacje. Musiałabym się pożegnać z dużym domem. Na samą myśl o tym przejmowała mnie groza. Dobrze, że był tam, gdzie był. Cieszyłam się z tego. Przynajmniej tak mi się wydawało.

Lubiłam patrzeć, jak matka rysowała sobie kreski na powiekach. Miała mnie tego nauczyć, kiedy skończę dziesięć lat. Często zmieniała mi fryzury. Gdy stawała przede mną i podnosiła rękę, widziałam, jak poruszają się kości u nasady jej szyi.

- To moja solniczka - mawiała.

Lizałam jej skórę w tym miejscu, ale nigdy nie poczułam smaku soli. Raczej gorycz, z powodu perfum.

Czesła mnie, a ja rozmyślałam o jej włosach, które nigdy nie wyglądały tak samo.

Czasami nie potrafiłam odróżnić jej prawdziwych włosów od peruk, które często zmieniała. Nie podobały mi się żółte. W czarnych, sztywnych, wyglądała jak Indianka. Tamtego lata, gdy przeżyłam wielką burzę, matka miała rude włosy. Była zmienna i nieprzewidywalna, raz smutniejsza niż Paule czy Fanny, kiedy indziej weselsza.

Paule i Fanny także były wesołe na swój sposób. A raczej dziwne. Pierwszy zwrócił ci na to uwagę Antonio, twój starszy kuzyn, gdy żegnał się z tobą przed wakacjami i życzył dobrej zabawy.

- Odwagi - dodał. Przytrzymałeś go za rękaw, a on, spuszczaając wzrok, powiedział: - Mój tata mówi, że takie gineceum nie jest dobre dla chłopaka, zwłaszcza w twoim wieku.

Antonio był tak zawstydzony, że zaczerwienił się jak burak.

Odszukałeś w słowniku dokładne znaczenie słowa gineceum i zrozumiałeś to, co już wiedziałeś, nie chcąc wiedzieć. Paule nie lubiła mężczyzn, wołała Fanny. Być może z powodu twojego ojca. Miałaś zaledwie trzy lata, kiedy nagle zniknął. Od tamtej pory Paule przeklinała wszystkich przedstawicieli rodzaju męskiego oprócz swojego syna.

Tłumiła w sobie żal po odejściu twojego ojca i zabroniła nam o nim rozmawiać, ze względu na Fanny.

Tajemnica była dobrze strzeżona. Moją matkę zbytnio nękały jej własne demony, Fanny bała się, że łamiąc obietnicę milczenia, straciłaby Paule, a społeczeństwo nie wyobrażało sobie matki związanej z kobietą. Stałaś się doskonałą przykrywką.

Czy ja nie byłam niewinna?

Ze słownikiem w dłoni szukałeś dalej, zatopiony w myślach. Wielkie tomisko nie skąpiło słów, ale tobie wystarczyło jedno. Powtarzałeś je raz po raz, chociaż z twoich ust nie wydobywał się żaden dźwięk. Najpierw chciałeś stłumić to słowo, sprawić, by zniknęło. To się nie udało. Słowo nie było wulgarne, tylko zakazane. W ogóle nie powinno istnieć.

- Co to jest „lesbijka”?

Światło zmieniło się na zielone. Celowo wybrałeś chwilę, kiedy Paule prowadziła samochód, żeby nie patrzeć jej w oczy. Wypowiedziałeś to słowo! Wspaniale, nawet nie zdrzął ci głos. Dłonie Paule znieruchomiały, wbiła wzrok w przednią szybę, ty z trudem oddychałeś, spocony jak po wielkim wysiłku. Kiedy wreszcie zdecydowała się odezwać, wycodziła świszczącym głosem tylko jedno zdanie.

- Nigdy więcej mnie o to nie pytaj.

Jej odpowiedź nie miała znaczenia. Nie chciałeś usłyszeć, tylko zobaczyć.

Ja nie miałam tej pewności, nigdy nie widziałam Paule i Fanny przytulonych, nie zauważyłam ani jednego pocałunku. Owszem, sypiały w jednym łóżku, ale przecież ja z tobą też.

Za to kiedy moja matka przychodziła do domu z kimś, nie dbała o dyskrecję. Zamykałam się w swoim pokoju i przyciskałam głowę do poduszki. Nie chciałam słyszeć wymuszonego śmiechu, którym zawsze śmiała się w te noce spędzane z mężczyznami.

O świcie słyszałam, jak intruz zbierał swoje rzeczy; potem był szum windy i trzask zamykanych drzwi. Matka już poprawiała mi koc na ramionach, głaskała mnie po policzku.

- Laure, kochanie... - mruzczała.

Tak po prostu.

5.

W ostatnim dniu wakacji w dużym domu szliśmy się pożegnać z potokiem, bo to był idealny pretekst, żeby uciec przed Paule i Fanny, które zmieniały się w maniaczki sprzątań. Umykaliśmy przed smrodem bielinki, woleliśmy zapach mchu obrastającego kamienie, zielonego i świeżego nawet w najbardziej upalne lato. W górze potoku leżał bardzo duży, płaski głaz z nieckowatym wgłębieniem, pokrytym dywanem mchu. To było nasze ulubione miejsce. Gdy już tam dotarliśmy, ostrożnie przeskakując po zbyt wąskich kamieniach, gdy już kilka razy zamoczyliśmy nogi i gdy wielokrotnie wybuchliśmy śmiechem, siadaliśmy i przytulaliśmy się do siebie. Opierałam głowę na podciągniętych kolanach i kołysałam nią, ciesząc się niebem i wodą. Siedząc między twoimi udami, zachwyciałam się delikatnym, złotym puszkciem, który rósł ci przy uszach.

Przejrzysty potok płynął swoim rytmem; na zalesionych brzegach, ukryte przed ludzkim wzrokiem, żyły tysiące istot: wiewiórek, mrówek, jeży i gąsienic. Trzepocąc skrzydełkami, piegże przelatowały z jednego drzewa na drugie. Pewnego wieczora, kiedy się zasiedzieliśmy, widzieliśmy nietoperze. Wirowały jak w tańcu, wołały to niż pikowanie w dół.

Czasami nabierałeś w dłoń trochę lodowatej wody, żeby zmyć perlisty pot z mojej twarzy.

Tamtego dnia wyjątkowo pograżyliśmy się w milczeniu. Bardzo chciałam zobaczyć matkę, jednak nie umiałam się w pełni cieszyć na spotkanie. Nigdy nie rozstawałam się z nią na tak długo, więc tęskniłam. Poza tym poprzedniego dnia, tak jak kazała Paule, przez telefon nie pisałam ani słówkiem o burzy. Miałam matce tyle do powiedzenia. Nie mogłam się doczekać spotkania, ale jednocześnie martwiła mnie nieuchronna rozłąka z tobą. Zaczynałam odkrywać, jak trudno jest uzyskać pełnię szczęścia.

Ostatni raz rozejrzałam się dookoła. Dzięki wielkim drzewom, szumiącym na wietrze liściom i pięknemu światłu słońca nasze królestwo stawało się jeszcze prawdziwsze. A ty nie byłeś wymyślonym księciem z bajki, tylko moim, żywym.

Odpedziłam smutek, tłumacząc sobie, że nadejdą następne lata, najbliższe już całkiem niedługo, i nic się nie zmieni. Myliłam się.

6.

Tutaj można zobaczyć najróżniejszych ludzi. Lekarze, odwiedzający i chorzy są aktorami w sztuce, której ostatnia odsłona wciąż się powtarza. Lekarzy i gości nazwałam wchodzącymi, natomiast chorzy to wychodzący.

Im bardziej posuwa się choroba, tym bardziej zdaję sobie sprawę, jak nieistotny jest powrót do zdrowia. Człowiek pragnie tylko, żeby przestało boleć.

Śmierć trzyma nas w szachu, zagnieżdża się tam, gdzie leżymy.

Choć wola życia nie znika, w końcu trzeba zrezygnować, żeby uciec przed bólem. Agonia to niekończące się męczarnie.

Czułam, jak rozwijała się choroba; próbowałam ją uczłowieczyć, nadawałam jej nawet przydomki. Później próbowałam stawić jej czoło, zebrałam nowe siły, nawet wykrzesalam w sobie nadzieję. Ból to potężny i podstępny wróg: respektuje zawieszenie broni, żeby potem zaatakować jeszcze mocniej. Przeżera nerwy.

Kiedy ustępuje, bardzo się boję, bo już wiem, że wróci. Silniejszy.

Tamtego lata, jadąc samochodem do domu, śpiewaliśmy na całe gardło. Długie powroty z wakacji kojarzyły mi się z piosenkami i kanapkami z suchą kielbasą. Całe bagietki, przekrojone wzdłuż i obficie posmarowane masłem, papryka bez skórki i pestek, nic, tylko jeść! Najbardziej cieszyło mnie to, że kanapki były wielkie, długości mojego ramienia. Zachwycalam się nie tyle zawartością, ile rozmiarem.

Ty nie miałeś apetytu. Staralam się pohamować, nie rzucać łapczywie na jedzenie.

Liczyłam kilometry, opóźniałam chwilę napoczęcia przeznaczonej dla mnie kanapki. Wreszcie, kiedy ty zaczynałeś jeść, ja zaczynałam dokładnie przeżuwać. Liczyłam różowe plasterki jeszcze do pochłonięcia. Nie zostawiałam ani okruszka. Krajobrazy migwały za oknami, a Fanny uczyła nas kanonów. Ciebie basu, mnie - falsetu.

Citroen 2CV służył nam za pudło rezonansowe do najróżniejszych piosenek, od *Cathédrales* po *Saint-Malo beau port de mer*. Skupiona na melodiach, które następowały jedna po drugiej, zapominałam, jak jeszcze daleko. Piosenki zawsze śpiewaliśmy w tej samej kolejności. Podobała nam się ta stałość. Jakbyśmy słuchali płyty w trybie „powtórz”. Po latach melodie wciąż układały się w mojej głowie w naturalny ciąg. W rozśpiewanym

samochodzie powstawała między nami nowa, intymna więź. Byłam wdzięczna Fanny, że nauczyła nas pewnej piosenki, sentymentalnej i fantazyjnej zarazem. Nasz chórek bardzo ją polubił; śpiewanie jej sprawiało mi dużą przyjemność.

Na miejscu od razu poczułam, że coś jest nie tak. Zwykle gdy wracaliśmy z wakacji i trąbiliśmy klaksonem, matka natychmiast wychylała się z okna. Lubiłam patrzeć na nią z daleka. Serce mi podskakiwało, ale jakby w zwolnionym tempie; ogarniał mnie wielki spokój. Dopiero po latach zdajemy sobie sprawę, jak cenny i rzadki jest to stan.

Tego wieczora nie wyrzała. Jednak w naszych oknach paliło się światło. Po parkingu kręciło się dużo ludzi, bardzo zdenerwowanych. Na dwóch samochodach obracały się światła, prawdziwe koguty.

Rozpoznałam kilku sąsiadów; podnosili głowy i patrzyli w jeden punkt: okno naszego mieszkania. Błada Paule szybko wysiadła z samochodu, zostawiając nas z Fanny. Najpierw pomyślałam, że matka szykuje mi przyjęcie-niespodziankę. Były przecież dwa dobre powody: mój powrót z wakacji oraz urodziny, przypadające za dwa dni. W ten sposób wytłumaczyłam sobie to całe zamieszanie. Muzyka w mieszkaniu na pewno zagłuszyła dźwięk naszego klaksonu.

Niepokoili mnie tylko strażacy i karetka pogotowia. Dziwna atmosfera.

A przede wszystkim to nowe uczucie: jakby mój żołądek ścisnęła czyjaś dłoń.

Paule już wracała. Pomyślałam, że wygląda jak przebity balonik. Nagle wydała mi się płaska, jakby uszło z niej powietrze.

Już nigdy nie byłam w naszym mieszkaniu.

Paule tam została, a my we troje pojechaliśmy do Fanny. Przez godzinę nie zaśpiewaliśmy ani jednej piosenki, co nie zdarzało się w towarzystwie Fanny. Wreszcie przysnąłem, opierając głowę na moim ramieniu; czułam, jak robiła się ciężka. Fanny nie powiedziała ani słowa, tylko pociągała nosem, prowadząc bardzo ostro, łamiąc ograniczenia prędkości. Niewidzialna dłoń zacisnęła się teraz na moim gardle. Nie śmiałam się odezwać, bojąc się tego, co mogłabym usłyszeć w odpowiedzi.

Próbowałam wrócić myślami do przyjemnego życia - życia dziewczynki, która namalowała dużą, błękitną księżniczkę na ścianie przedpokoju w swoim mieszkaniu. Żeby wykończyć koronę, musiałam wdrapać się na taboret.

- W dniu, kiedy zjawi się księżę, wyjdzie ze ściany - zapewniła mnie matka.

Zamierzałam pokazać ci księżniczkę właśnie tamtego wieczora; na pewno trochę się przesunęła. Byłam dziewczynką wychowywaną jak w bajce. Przyjemna gra, ale niebezpieczna.

Fanny nie chciała, żebym spała z tobą w jednym łóżku. Kiedy próbowałeś się sprzeciwić, kazała ci się położyć na kanapie w salonie. Nie zapaliła światła w sypialni; rozebrałyśmy się po ciemku. Długo mnie przytulała, nazywając biedną malutką. W końcu zaczęła mnie denerwować - i tę biedną, i tę malutką. Byłam już duża, piłam śliwownicę, sama Paule mi pozwoliła. Nie uważałam się też za biedną. Miałam swoją błękitną księżniczkę. Wymyśliłam sobie, że nasze mieszkanie jest jej zamkiem. Księżniczki, jak wiadomo, muszą czekać na swojego ukochanego. Z tego powodu nigdy się nie przeprowadzają, bo księżę mógłby ich nie znaleźć. Moim zamkiem był duży dom, a mój księżę nie musiał mnie daleko szukać, bo przecież spał w pokoju obok i nigdy nie mieliśmy się rozstać.

Próbowałam dodać sobie pewności, oddychając głośno i równo, żeby Fanny myślała, że zasnęłam; miałam nieodparte wrażenie, że przygląda mi się szeroko otwartymi oczami. Dlaczego nie wzięła lekarstwa? Moja matka bardzo je lubiła, podobnie jak różowe kuleczki, które wtykała sobie w uszy.

Dziwiłam się temu.

- Jedne i drugie uciszają moje koszmary - wyjaśniała.

7.

Obudziłeś mnie, Fanny i Paule szeptały w kuchni. Paule wróciła o świcie. Bez mojej matki. Miała bardzo poważną minę.

Zaniepokoiłeś się: czy aby na pewno nic nie przeskrobałam? Czy nie zrobiłam jakiegoś głupstwa? Nie spodziewałam się niczego dobrego po ich tajnej naradzie, ale miałam przecież ciebie. Ty byś mnie obronił.

Wreszcie wszystko się wyjaśniło, inaczej jednak niż przewidywałeś.

Czułam niesmak w ustach. Poprzedniego wieczora Fanny nie dopilnowała, żebym umyła zęby. Idąc do łazienki, usłyszałam, że Paule nazwała cię swoim malutkim jegomościem. Nie cierpiałeś tego, przecież miałeś już jedenaście lat! Uznałam, że wszystko jest w porządku. Ten epitet, oznaka dobrego humoru Paule, musiał zwiastować szczęśliwe zakończenie. Znow się myliłam.

Paule, z czerwonymi, zapuchniętymi oczami, powiedziała mi, że matka jest w szpitalu. Dzieci nie mogą tam wchodzić, więc „pojadę do niej sama i wrócę wieczorem”. Zostałam z tobą i Fanny.

Wybuchłam płaczem, ale łzy szybko obeschły.

Nie rozplakałam się z żalu, tylko dlatego, żeby być jak Claude, moja ulubiona bohaterka Klubu Pięciorga. Na początku jednej z książek, którą przeczytałam tuż przed wakacjami, Claude dowiedziała się, że jej mama jest w szpitalu, więc wybuchła płaczem. Kiedy sobie przypominałam, że wieczorem matka Claude wróciła do zdrowia, przestało mnie ścisnąć w żołądku; byłam głupia, że tak się przejmowałam.

Rozpierała mnie radość, miałam przecież spędzić jeszcze jeden dzień z tobą, no i czekało mnie przyjęcie urodzinowe. Martwiłam się tylko, że Paule powie matce o burzy. Chciałam to zrobić sama. Paule przyrzekła, że nie pisnie ani słowa. Zdziwiło mnie spojrzenie, które rzuciła w stronę Fanny, ale miałam już dość domysłów. Co z tego, że Paule i Fanny nie tryskały radością, lecz chyba się nie gniewały? To nie był mój problem. Pomyślałam tylko, że także dorosłym powinno się zabronić wizyt w szpitalu, bo psują im nastrój.

Ten dzień pamiętam szczególnie wyraźnie.

Składał się z wybuchów śmiechu. Szybko zapomniałam o Fanny i jej złym humorze. Poszliśmy do parku, zjadłam trzy gofry, co nigdy przedtem mi się nie zdarzyło, i jeździłam na

kucyku tak długo, że nie mogłam zliczyć okrążeń. Spodobało mi się jego imię, Sweetie; brzmiało jak uistiti*, więc szczerze się uśmiełam. Zaprowadziłeś mnie do motyla. Było mi przyjemnie, że ani na chwilę nie wypuszczałeś mojej dłoni ze swojej. Cofnęliśmy się kawałek alejkami, minęliśmy rzeźbę jelenia i nagle zobaczyłam na ziemi ogromnego motyla. Jego skrzydła rozpościerały się na jakieś dziesięć metrów, czułki wystawały daleko do przodu. Skrzydła były z róż, czułki z piwonii, a korpus - z ciemnofioletowych bratków. W locie ten motyl musiał rozsiewać zapach, który docierał aż do księżyca, na pewno czuł go mój tata!

Jak skrupulatny entomolog sklasyfikowałam w pamięci każde wydarzenie tego dnia, każde słowo.

Na szczęście Paule nie zabrała mi walizki, do której spakowałam wszystkie kredki. Od razu po powrocie do mieszkania Fanny zaczęłam rysować motyla dla mamy. Miała niedługo wrócić, więc ćwiczyłam całuski-motyłki, trzepocąc rzęsami, jak mnie nauczyła. To był wspaniały dzień, wart zapamiętania.

* Gatunek nadrzewnej małpiatki (przyp. tłum.).

8.

Młodziutka Catherine, moja pielęgniarka, to skarb tego szpitala.

Ma dwadzieścia jeden lat i kojarzy mi się z cukierkiem. Czy to wrażenie wywołują jej usta, zawsze umalowane jaskraworóżowym błyszczącym, wyglądające jak z cukru, czy szczupła talia pod dużym biustem, czy też uda, widoczne w rozcięciu fartucha? Jest pełna wigoru, nigdy nie siedzi beczynnie. Coś nosi, sprząta, przekłada, przeciera, nucąc pod nosem, zawsze ze szczerym uśmiechem na twarzy. Nie znam żadnej z tych melodii, ale podoba mi się, że podśpiewuje, nie myśląc o tym. A ja zapominam o upokarzającym dotyku jej dłoni w rękawiczce, gdy mnie myje, o mdlącym zapachu moich ekskrementów, o własnej nagości, o sytuacji, której nie mogę zmienić.

- Laure, mamusia cię kocha, jest w niebie z aniołami. Patrzy na ciebie. Jest przy tobie, cokolwiek robisz. Myśl o niej, a będzie tak, jakby nadal żyła.

Oklepane słowa. Ale co innego mogła powiedzieć?

Wtedy o tym nie myślałam, bo znów poczułam, jak niewidzialna dłoń szarpie moje wnętrze. Chyba było groźnie, bo Paule zaczęła szlochać. Fanny też płakała. Radość przysła.

Szumiało mi w uszach.

- Czy motyl może szumieć? - zapytałam cię.

W odpowiedzi podarowałaś mi swoje oczy na zawsze, jak daje się coś, czego nigdy się nie odbierze. Dobrze to wiem, bo noszę je w sercu od niemal trzydziestu lat. Zaciśnęłam zęby tak mocno, że rozboleła mnie szczęka.

W twoich oczach dostrzegłam oczy mojej matki, które już nigdy nie miały na mnie spojrzeć.

A głos? Jak mogłam usłyszeć jej głos?

Mieszkałaś z Paule w internacie przy liceum, które prowadziła. Miejsce to, z wielkimi, martwymi budynkami, betonowym podwórzem bez jednego drzewa i mnóstwem krat, wydawało mi się bardzo ponure.

Służbowe mieszkanie nie było chyba odnawiane od czasu, gdy Paule jako młoda uczennica pierwszy raz przekroczyła próg tej instytucji. Ona i moja matka dorosły w tych

murach. Paule nie opuściła ich już nigdy. Była wychowawczynią, szkolnym pedagogiem, cenzorem, wreszcie dyrektorem. Czasami przyjeżdżałyśmy z matką złożyć jej wizytę. Na tamtym podwórzu pierwszy raz poczułam, jak bolesny jest upadek na beton. Matka spała z Paule, a w twoim jednoosobowym łóżku nie było miejsca dla nas obojga. Rozkładały mi więc miękkie materac w gabinecie. Wpatrywały się we mnie stojące przed rzędami encyklopedii, niewzruszone, hebanowe amazonki, czarne posążki z pośladkami jak jabłka i piersiami na baczność. Tamtej nocy Paule wzięła mnie do swojego łóżka. Pierwszy raz nie było mojej matki; wcale mi się to nie podobało. Nie mogłam uwierzyć, że tak samo będzie następnego dnia i przez kolejne miesiące oraz lata.

Po prostu nie potrafiłam sobie tego wyobrazić.

Budzik odmierzał minuty głuchym dźwiękiem; słyszałam, jak mijają. Zmęczona Paule zasnęła. Patrzyłam w sufit: może gdybym się bardziej skupiła, zobaczyłabym matkę. Wystarczyło przeniknąć sufit wzrokiem i zajrzeć w to miejsce nieba, gdzie żyją anioły. Musi im być wesoło, bo zawsze mają radosne miny, i na pewno dobrze tam karmią, jeśli sądzić po ich puciołowatych buziach. Tam nie będzie jej potrzebna solniczka, pomyślałam. Chciało mi się jeść; to był mój drugi wieczór bez posiłku i mycia zębów.

Wstałam i poszłam do lodówki... puste.

Tego już nie wytrzymałam; osunęłam się na ziemię. Upadając, otarłam sobie kolano, ale pieczenie wydało mi się przyjemne. Przypominam sobie, że chciałam się schować w lodówce. Czulałam się zagubiona.

Promień światła spod twoich drzwi dał mi siłę, żeby wstać. Pomogłeś mi czułością i ciepłymi słowami, od razu zrobiło mi się weselej, jednak nie wszystko pochłonęła rozpacz. Przecież miałam ciebie.

- Zobaczysz, będzie nam dobrze. Tutaj tylko śpimy i myjemy się, jedzenie jest u Fanny. Będzie tak, jakbyśmy u niej mieszkali, tam odrabia się lekcje, a ja uczę się gry na fortepianie. W kuchni pięknie pachnie, pod tym względem Paule nie można nic zarzucić.

Zawsze nazywałeś swoją matkę „Paule”. Nie umiałeś tego wyjaśnić, po prostu nie potrafiłeś o niej mówić inaczej. Ten dystans, oznaczający, że wasze relacje są partnerskie, bardzo ci odpowiadał: okazywałeś swoją męską władzę.

9.

Ja, wcielenie niecierpliwości, czekam na ciebie spokojnie. Wystarczy mi świadomość, że przyjedziesz, wspomnienia, które pomagają zapomnieć o odleżynach, są wspaniałymi towarzyszami. Nie wiem już, jak się ułożyć. Nie mam pośladków, na których mogłabym leżeć, więc poprosiłam o hamak bez spodu. Śmieszka Catherine stwierdziła, że należałoby mnie powiesić za kostki i nadgarstki na rozciągniętym sznurze. Zasugerowałam więc, żeby dano mi hamak z odpinanym kawałkiem materiału.

Nie mogę już mówić swobodnie. Kiedy mi się to udaje, czuję się jak zwycięzca. W ciągu niecałych trzech dni odleżyny bardzo się zaogniły, to już nie zapalenie, ale ropiejące rany.

Biedna Catherine, ma bardzo ciężką pracę; trzeba samemu zetknąć się z chorobą, żeby zrozumieć, jakiej to wymaga odporności i hartu ducha. Dziś rano poczułam, jak dobrze się rozumiemy, kiedy, widząc moje grymasy bólu podczas mycia i smarowania maścią, ośmieliła się powiedzieć, że każdy toczy swoją wojnę. Tak, ta młoda kobieta bardzo mi się podoba.

Długo szukałam matki na suficie.

W końcu musiała się pojawić. Paule mówiła mi, że jeśli będę o niej dużo myśleć, to ją ożywię. Zastanowiłam się: a burza? Gdybyś mnie nie uratował, byłabym już przy niej i aniołach. Wyobrażałam sobie, że jestem daleko od ciebie, mam puciołowate policzki i wcale nie jestem szczęśliwsza. Oswajałam się ze słowem „śmierć”, powtarzałam je sobie często, by lepiej zrozumieć. Dostosowywałam się do niego, jak wzrok dostosowuje się do półmroku. A gdyby umarła Paule? Nie musielibyśmy już mieszkać w tym liceum. A gdyby umarła Fanny? Nie jedlibyśmy już jej pysznych potraw. A gdybyśmy umarli razem, ja i ty? Moglibyśmy się spotkać z moją matką i żyć we trójkę, tak jak zawsze pragnęłam. Ale ty nie chciałeś umrzeć i za każdym razem, gdy przyłapałeś mnie na tej zabawie, dostawałam od ciebie burę.

Afrykańskie posążki ustąpiły miejsca muszłom wszelkich rozmiarów i kształtów, które matka trzymała w mieszkaniu; moja ulubiona miała dużą szczelinę i była blada w środku, smakowicie gładka. Matka kiedyś nas sobie przedstawiła.

- To jest moje ciało - powiedziała.

Niezwykły sposób nazwania muszli. Wzięła kartkę papieru i otworzyła przede mną

wszechświat słów, tłumacząc mi różnice w podobieństwie oraz mylącą bliskość; objawiła mi ich moc. Od tamtego dnia zawsze miałam pod ręką jakąś książkę, przykładałam wielką wagę do słów, do ich budowy i znaczenia.

Matka lubiła patrzeć, jak zajmuję się wyimaginowaną układanką.

Każda litera była elementem, niosła w sobie możliwości. Wystarczyła kartka i ołówek, albo nawet tylko głos, żeby je do siebie przymierzać, szlifować, rozmawiać z nimi.

Wyraźna duma matki zachęcała mnie do kontynuowania tej gry. W gabinecie, który wkrótce stał się moim nowym pokojem, próbowałam dalej bawić się słowami, zdając sobie sprawę, jak bardzo pomaga mi ucieczka w ich świat.

- Laure, ubierz się, idziemy na obiad do Fanny. Lucas już tam jest, czeka na nas.

- Czy zobaczę ją na suficie Fanny?

- Dobrze wiesz, że już nie zobaczysz jej tak jak kiedyś. Nadal możesz z nią rozmawiać, ale tylko w myślach albo w modlitwach. Znasz modlitwę? Ukłęknij, pokażę ci, co robić. Składasz ręce i zaczynasz: „Ojcze nasz”. Powtarzaj za mną: „Ojcze nasz, któryś jest w niebie...”

- Gdzie jest?

- W niebie.

- Przecież mój ojciec jest na księżycu. Już spotkał się z nią w niebie? Wiedziałam, że tak będzie, umówili się i zostawili mnie samą.

- Nie pleć bzdur, twój ojciec jest Bóg wie gdzie, ale na pewno nie z moją siostrą. A ona cię nie zostawiła. Była zmęczona, rozumiesz, bardzo zmęczona.

- Kiedy ktoś się zmęczy, śpi. Zresztą miała te różowe kuleczki i dużo spała. Wchodziłam do jej sypialni, siadałam na łóżku i patrzyłam na nią, a ona nawet nie drgnęła. Mówisz dziwne rzeczy. Nie rozumiem, czemu każesz mi się modlić do ojca. A skoro Bóg wie, gdzie on jest, to dlaczego nie ja? Nikt nie chce ze mną rozmawiać o tacie. Teraz, kiedy ona umarła, wolałabyś, żeby on mnie zabrał, tak?

- Nie, nie, „Ojcze nasz” to takie... sformułowanie. To znaczy... Bóg nie ma nic wspólnego z twoim ojcem. Może lepiej naucz się innej modlitwy. „Zdrowaś Mario”. Maria jest matką wszystkich ludzi.

- Czyli też mojego ojca. To moja druga babcia.

- Nie potrafię ci tego wytłumaczyć. Chodźmy już do Lucasa i Fanny.

- Kiedy pójdę do nowej szkoły? I czy będę mogła zdjąć ze ściany błękitną książniczkę? Dlaczego tata Lucasa z nami nie mieszka? Dlaczego Fanny nie ma męża? Dlaczego anioły są lepsze ode mnie? Dlaczego...

- Laure! Laure! Uspokój się. Nie mogę odpowiedzieć na te wszystkie pytania, ale będę cię kochać i opiekować się tobą. Urządzimy ci piękny pokój, sama wybierzesz tapetę. Jaki kolor lubisz?

Wybrałam zieleń, jak oczy mojej matki.

- Zielony to kolor nadziei, źródło, w którym każdy może ugasić pragnienie - powiedziała mi pewnego dnia.

Spodobały mi się te słowa: ugasić pragnienie.

Myślałam wtedy, że dzięki moim modlitwom i zielonemu sufitowi matka na pewno pojawi się na Gwiazdkę. Tak po prostu musiało być.

10.

Spełniono kaprys dziewczynki z rozdartym serduszkiem: cały gabinet został wyklejony zieloną tapetą, nawet sufit. Tutaj wszystko jest białe, od fartuchów po talerze. A co powiedzieć o nocach? Zawsze otacza mnie biel. Nie będę się skarżyć.

Zastanawiam się, czy ostatni obraz, który widzimy, pozostaje długo po tym, jak zamkniemy oczy. Dasz mi swoją twarz?

„Panie, przyjmij na Swe łono...”

Czułam się jak Jurij, tylko że na początku filmu *Doktor Żywago* on trzymał bałajkę, a ja teraz - muszlę. Czy chłopiec płakał? Ja nie mogłam przy tych wszystkich ludziach, pograżonych w żalu. Zafascynowana ich smutkiem, przestawałam myśleć o własnym cierpieniu. Szukałam ojca. Gdzie się ukrył? Oczywiście wyobrażałam sobie, że jest wysoki i zabójczo przystojny. W przyszłości miałam się przekonać, jak wiele wyrządził krzywd. Na pewno stał gdzieś z tyłu, nie mogło być inaczej. Potrzebowałam jego obecności, jego spojrzenia, gdy zabrakło mi spojrzenia matki. Mamrotanie księdza i stłumione łkania zgromadzonych stanowiły idealne tło dźwiękowe dla historii, którą snułam w głowie.

Na pogrzebie matki marzyłam. W ten sposób się z nią połączyłam.

W moich myślach Jurija zastąpiła Lara. Matka, podobnie jak ona, lubiła nosić na szyi czarną aksamitkę. Podkreślało to jej urodę. Aksamitka uszlachetniała jej wygląd i, jeszcze bardziej niż cień do powiek, akcentowała błysk oczu.

Pojawiły się końcowe napisy, widziałam łzy Lary i byłam zła na Żywago, że nie potrafił wybrać spośród swoich dwóch kobiet, obu pięknych i dobrych, z których jedna była prawowitą małżonką, a druga nie. Dlaczego właśnie ona, Lara, wydawała mi się właściwsza?

- Na wieki wieków, amen.

Położyłeś mi dłonie na ramionach, czułam, że silnie mnie przytrzymują. Babcia Clo się zachwiała.

- Zajęła moje miejsce, ten grób nie był przeznaczony dla niej. Dlaczego Pan nie wezwał mnie? - powtarzała.

Tak, Pan. Dobrze pamiętam babcie Clo z siateczką na włosach i powykrzywianymi dłońmi; życie jej nie rozpieszczęło. Nigdy nie przypuszczała, że straci własne dziecko. Nie

buntowała się przeciwko temu, pokładała wiarę w Bogu.

Na krótką chwilę straciłam do niej sympatię. Była stara. Żeby dotrzeć na cmentarz w jej wiosce, cały dzień jechaliśmy samochodem. Mąż babci, dziadek Baptiste, na pewno czekał w grobie na nią, a nie na moją matkę. Zmarł długo przed naszym przyjściem na świat, ani ty, ani ja go nie znaleźliśmy. Teraz powinna do niego dołączyć babcia Clo, a nie jej córka. Pomyślałam, że jeśli matka tu zostanie, to nie będę mogła dalej do niej mówić. W dodatku przykrywało ją tyle ziemi, że trzeba by było krzyczeć. Jak to zrobić, żeby dziadek Baptiste nie podsłuchiwał? Przecież leżał tuż obok i nie miał nic innego do roboty. Na pewno wszystko by słyszał.

Podbiegłam więc do trumny i próbowałam ją otworzyć. Ty stałeś nieruchomo, obraz mi się zamazywał, od szarpania drewnianego wieka bolały mnie palce; czułam, że koniecznie muszę zobaczyć matkę, przekonać się, jak umarła, musiałam to zrozumieć. W przebłysku racjonalnego myślenia szukałam dowodu. Choroba? Ale jaka? Czyli raczej wypadek? Czy była ranna? Jak może oddychać pod tym wiekiem? W środku na pewno jest ciemno. A jej aksamitka? Czy pamiętali, żeby zawiązać aksamitkę?

Podnieśli trumnę i opuścili do grobu, a potem wszyscy rzucali garście ziemi.

Każdy szmer spadających grudek sprawiał, że traciłam ją bardziej. Czy to możliwe?

Trzymałam w dłoniach muszlę i różę. Ścisnęłam je, jakby były moimi podporami. Babcia Clo zabrała mnie do innej alejki. Mijając niewielkie pagórki, dotarliśmy do kwadratowego, ziemnego grobu, na którym ustawiono przezroczyste kamienie. Fioletowe krawędzie lśniły w promieniach słońca. Nad grobem pochylał się kamienny anioł.

- Laure, widzisz ten napis? „Tu spoczywa anioł”. Te kamienie, jak klejnoty, są niezniszczalne. Właśnie dlatego Cyganie wolą je od kwiatów; kamień nie boi się wiatru ani deszczu, nigdy nie zwiędnie, trwa wiecznie.

Tak jak śmierć nie boi się łez ani modlitwy. Słuchając babci Clo, zrozumiałam, że moja mama już nie wróci, nigdy nie pogłaszcze mnie po czole, nie zanuci walca Lary, nie nakryje do stołu. Zmarła i została pogrzebana. Na zawsze.

Ostatni raz podniosłam muszlę do ucha i wsłuchałam się w szum morza, a potem złożyłam ją u stóp anioła.

Kiedy wróciłam do grobowca rodzinnego, było już po wszystkim, zagrabiono ziemię, a ja nawet nie mogłam położyć róży, bo zgubiłam ją gdzieś przy grobie z błyszczącymi kamieniami.

Po pogrzebie Paule się załamała. Fanny na jakiś czas zamieszkała w liceum. Pierwszej

nocy wstałam z łóżka i poszłam po szklanek wody. Usłyszałam łkanie w kuchni, więc zajrzałam tam. Zobaczyłam, że Fanny przytula Paule, całuje jej powieki i skronie; byłam zafascynowana.

Patrzyłam, jak się kochali, a potem w milczeniu wróciłam do łóżka, zapominając o wodzie. Teraz już wiedziałam. Nigdy nikomu o tym nie mówiłam, nawet tobie; popełniłabym świętokradztwo. Tamtej nocy widziałam ich chwilę intymności, nieprzeznaczoną dla nikogo innego. Choć byłam jeszcze mała, rozumiałam, jak wielka jest ich potajemna miłość. Tajemnica była warunkiem ich szczęścia.

11.

Przez dwa pierwsze lata szkoły podstawowej moją wychowawczynią była mama. Nowa pani wydała mi się ogromna, miała trzyogniskowe okulary i ręce jak łopaty. Była łagodna.

Bardzo chciałam, by wywołała mnie do odpowiedzi. Pragnęłam być pierwsza, zdobywać jak najwięcej punktów, nie z powodu nagród, lecz by czuć się kochana przez panią, Paule, Fanny i wszystkich innych ludzi, z którymi miałam kontakt.

Liczyłam objawy sympatii, interpretowałam na swoją korzyść najdrobniejsze znaki. Odpowiadał mi i cieszył mnie każdy dowód miłości. Ty jeden nie musiałeś mi nic udowadniać. Wielka ulga!

W pierwszym dniu nauki zrobiłam z siebie widowisko, zachowałam się jak wariatka. Paule zaczęła tłumaczyć nauczycielce, że ostatnio przeżywam huśtawkę nastrojów. Prosiła, żeby się na mnie nie gniewała, tylko poświęciła mi więcej uwagi. Natychmiast wybuchłam płaczem, nie chciałam, by wszyscy wiedzieli, że jestem sierotą. Nie mogłam się uspokoić, wylewałam łzy, powstrzymywane przez tyle dni. Rozległ się dźwięk dzwonka, z klas wychodzili uczniowie. Niektórzy odwracali głowy w naszą stronę. Długo nie mogłam się opanować, ale gdy pani ukucnęła przy mnie i zobaczyłam, że ma na zębach ślad szminki, skupiłam się na tym i przestałam szlochać. Być może rozplakałam się też dlatego, że kiedy przyszłyśmy, zauważyłam ładną dziewczynkę, która podbiegła do ciebie i wzięła cię za rękę. Miała długie, rude włosy i rzęsy jak gwiazda filmowa. Na pewno była mistrzynią trzepotania.

Kiedy Paule zaczęła rozmawiać z panią, a ty poszedłeś gdzieś z tą dziewczynką, poczułam się całkowicie zagubiona. W chwili gdy udało mi się opanować łzy, bo zobaczyłam szminkę na zębach nauczycielki, nagle pojawiłeś się przy mnie. Rudowłosa dziewczynka też przystanęła, ale poprosiłeś, żeby zostawiła nas samych. Zrobiło mi się bardzo przyjemnie.

Później, gdy siedzieliśmy już w samochodzie, Paule, mówiąc o nauczycielce, użyła niefortunnego słowa „miła”. Odpowiedziałam ostro, że „miła” to nic nie znaczy, moja matka też była miła i umarła. Została ukarana, a ja razem z nią. Dlaczego? Paule zahamowała gwałtownie pośrodku drogi.

- Nie myśl, że nie chcę ci powiedzieć, ja po prostu nie mogę - odparła znużonym głosem, akcentując wszystkie czasowniki. Patrzyła przed siebie.

Gdy tylko dojechaliśmy do Fanny, zajęłam się tabliczką mnożenia. To był mój sposób

na ucieczkę przed smutkiem. Zauważyłam, że skupiając się na powtarzaniu, odrywam się od wewnętrznego monologu.

W szkole uczeń wywołany do tablicy miał prawo do kilku sekund namysłu, ale ja od razu pisałam odpowiedź. Pewnego dnia, w czasie klasówki, celowo zrobiłam błędy we wszystkich działaniach, mając nadzieję, że mama się tym zmartwi i zjedzie do mnie z nieba. Nie przysłała, a ja musiałam skłamać, żeby wyjaśnić Paule, dlaczego dostałam zero punktów. Ćwiczyłam mnożenie, kiedy tylko mogłam. Toalety okazały się idealnym miejscem do powtarzania. Nie pozwalałam sobie na żaden błąd, od razu zaczynałam od nowa. Mówiłam sobie, że matka jest ze mnie dumna w niebie; dobrze, że chociaż z tego. Pocieszałam się tak, przesiadując w toalecie. Byłam przekonana, że gdziekolwiek jestem i cokolwiek robię, ona mnie widzi. Nic dziwnego, że cierpiałam na zaparcia.

W końcu Fanny zaczynała bębnić w drzwi, bo jedzenie stygło.

Twoją obsesją - a raczej obsesją Fanny - była gra na fortepianie. Fanny codziennie kazała ci ćwiczyć. Instrument należał kiedyś do twojego ojca. Paule wolała, żeby stał u Fanny, która, zanim zaczęła wykładać literaturę, uczyła muzyki. Uczeń szybko przerósł mistrza. Zadziwiłeś nas.

Środowe i sobotnie wieczory były dla nas jak święto: wolno nam było przez dwie godziny oglądać telewizję. Nie podzielałeś mojego zainteresowania Quentinem Durwardem, za to oboje lubiliśmy Racines. Paule i Fanny szły do sypialni, zamykały drzwi na klucz.

12.

Po epizodzie z modlitwami Paule uparła się, żebym chodziła na religię. Twierdziła, że moja matka życzyłaby sobie, żebym pobierała boską naukę. Bardzo wątpię, żeby Bóg zrobił ze mnie lepszego człowieka, ale dzięki Niemu poznaliśmy księdza Labę, któremu zawdzięczamy jedno ze śmieszniejszych wydarzeń naszego dzieciństwa.

Z początku niechętnie chodziłam na religię.

Pojawienie się Boga w moim życiu zbiegło się w czasie ze śmiercią matki. Natychmiast skojarzyłam Go z cierpieniem, a modlitwę - z nieprawdą.

Raj wydawał mi się jeszcze bardziej pusty niż mój sufit.

Zamiast Boga poznałam księdza Labę, którego do dziś wspominam z wielką sympatią. Był wysoki i chudy, zawsze bardzo skupiony. Od razu go polubiłam, bo mnie chwalił; ale czy kiedykolwiek umiałam lubić inaczej?

Sadzał mnie przy sobie, wręczał Biblię i kazał czytać na głos. Robiłam to na jednym oddechu, nie chcąc przerywać; zapomniałam o dzieciach w sali, czytałam tylko dla księdza. Odkrywałam piękno słowa mówionego, języka samego w sobie, a także różne biblijne postaci. Byłam Salome i Judaszem, mirrą i świecą, czułam na barkach ciężar krzyża, wdychałam zapach drzewa oliwnego. Nie wierzyłam, tylko przeżywałam. Zbliżała się moja pierwsza komunia. Paule zaskoczyła nas wszystkich, zapraszając księdza Labę na kolację.

Przy tych rzadkich okazjach, gdy do naszego grona dołączali inni ludzie, spotykaliśmy się u Fanny, bo choć miała ciasne mieszkanko, to wyśmienite jedzenie rekompensowało wszelkie niewygody. Tym razem, ponieważ Fanny była zatwardziałą ateistką, kolacja, złożona z odgrzewanej w piecyku pizzy i kupnych ciastek, odbyła się w liceum. Pizza okazała się niejadalna, stwardniała podczas podgrzewania. Nie dawało się jej ani ugryźć, ani przekroić. Święty człowiek z przerażeniem patrzył, jak próbowaliśmy przełamać zwęglone ciasto. Czyżby bał się o nasze młode zęby? Narastała w nas idiotyczna wesołość; wysilając się bardzo i zując z godną podziwu determinacją, zjedliśmy swoje porcje. Gdy ksiądz wreszcie zabrał się do dużego kawałka, który na talerzu położyła Paule, wypadła mu sztuczna szczeka. Wybuchliśmy śmiechem. Kęs mojej pizzy, dobrze przeżuty, wylądował w kieliszku Fanny.

Nie zrażając się tym, Paule zaproponowała dokładkę pizzy. Fanny odmówiła, ale

ksiądz Laby, najwyraźniej dojrzały do beatyfikacji, włożył szczękę i wyraził zgodę. Nie pamiętam nic z rozmowy, bo słuchałam tylko odgłosów starannego przeżuwania. Gdy ksiądz jadł, nas od tłumionego śmiechu bolały mięśnie brzucha. Staraliśmy się nie patrzeć na siebie. Tak dotrwaliśmy do deseru. Nadgryzając *religieuse*^{*}, ksiądz zachwycił się zdjęciem wiszącym na ścianie. Przedstawiało nagiego człowieka, młodego hermafrodytę, przyodzianego w rybacką sieć. Piękno dziecka kryło się w jego niewinności, piękno zdjęcia - w dwuznaczności. Postać miała dłonie mężczyzny, ale na torsie widać było zarys piersi.

Ksiądz pochwalił podobieństwo, patrząc na nas ciepło, powiedział, że to doskonały portret dwóch kochanych, obecnych tu duszyczek. Pierwszy raz w życiu zobaczyłam, jak Paule się zarumieniła. Poczułam się zakłopotana, że mężczyzna, choćby nawet ksiądz, mógł sobie mnie wyobrażać z piersiami. Ciebie natomiast zdenerwowało, że zostałeś utożsamiony z kobiecym ciałem.

Dopiero po latach przekonaliśmy się, jak znacząca była ta sytuacja.

Czy ze strony księdza Laby była to perwersja, przecucie, czy po prostu niewinna uwaga? Skąd mieliśmy wiedzieć? Przez dłuższą chwilę panowała cisza. Przerwała ją Fanny, proponując, by ksiądz zjadł jeszcze jedno ciastko. Na paterze leżały eklery, kremowe ciastka Paris-Brest i ostatnia *religieuse*. Wstrzymaliśmy oddech. Aż zabołał mnie brzuch. I trach, *religieuse*! Uciekliśmy od stołu, rezygnując z dokładki deseru.

Następnego dnia zdjęcia nie było już na ścianie.

Musiałam zachorować, żeby zrozumieć, czym dla Paule była śmierć mojej matki. Wiele wycierpiała, zanim odważyła się ujawnić swój związek z Fanny, zamieszkać w Antigua i żyć własnym życiem.

Teraz jest spokojna, ale wtedy, jako samotna matka, obciążona tajemnicą mojego urodzenia, żyjąca w potajemnym związku z Fanny, otoczyła się murem. Jej rezerwę ludzie uznawali za chłód. Domyślałam się, że jest bardzo wrażliwa, nie umiałam jednak skłonić jej do czułości. Brakowało mi ciepła, dlatego często sama próbowałam je okazać, choć w ten sposób także nie mogłam do niej dotrzeć. Przynajmniej się rumieniła, więc wiedziałam, że jest żywym człowiekiem. W liceum onieśmiała nauczycieli i przerażała uczniów, ale ja czułam, że za fasadą szorstkości jest bardzo delikatna i słaba. Nie wiedziałam wszystkiego.

Bywałeś wobec niej bardzo okrutny. Oboje małomówni, zamykaliście się w sobie przy każdej różnicy zdań. Nie oszczędzałeś jej, a ona spokojnie znosiła wszystkie przykrości. Gdy byliśmy we trójkę, atmosfera często stawała się napięta, więc w duchu błogosławiłam Fanny

* *Religieuse*: rodzaj ciastka z kremem, dosłownie „zakonnica” (przyp. tłum.).

za jej pogodne i towarzyskie usposobienie.

Dopiero gdy poznałam tajemnice, które zburzyły naszą chwiejną równowagę, naprawdę doceniłam wytrzymałość Paule. Choć była twarda, to właśnie jej milczenie pozwoliło nam, dzieciom, zrobić to, co było nieuniknione.

Tajemnica chroni tego, kto ją zna, ale także tego, kto pragnie ją poznać. „Nie wiedzieć” oznaczało „móc”.

13.

Zawsze starałam się opanować niepokój, wyprzedzając wydarzenia. Przewiduję, przepowiadam, wyobrażam sobie. To oznacza także myślenie za innych, podejmowanie za nich decyzji lub przekonywanie ich do czegoś - krótko mówiąc, panowanie nad nimi. Nie chcę przez to powiedzieć: „Kto mnie kocha, niech idzie za mną”, lecz wiem, że nigdy nie pokochałabym kogoś, kto nie postępuje zgodnie z moją wolą. Dążenie do panowania nad sytuacją jest wyczerpujące i daremne. Choć zdaję sobie z tego sprawę, do dziś nic tego we mnie nie zmieniło. Wybierając samotne życie, w którym nikt nie może decydować za mnie, stworzyłam sobie warunki, żeby mieć całkowitą władzę. Choroba to zmieniła, dała część władzy zastępom lekarzy, zmieniających się przy moim łóżku, a także Catherine. Kiedy ona ma wolne, opiekuje się mną pewna matrona, brutalna i obojętna, której pot śmierdzi tak, że zabiłby batalion much.

- Coś się stało? - wychowawczynie zauważyła to pierwsza.

Zaprzeczyłam, w czasie przerwy jak gdyby nigdy nic wyszłam z klasy, ale nie mogłam się bawić ani w chusteczkę haftowaną ani grać w gumę. Nadeszła moja godzina. Nikt się nie domyślał, nie mogłam porozmawiać ani z Paule, ani z Fanny, bo sprawiłoby im to zbyt wielką przykrość. A z tobą? Też nie śmiałam, było mi wstyd.

Od kilku dni w miejscu, gdzie powinnam mieć piersi, czułam dwie małe, bardzo twarde kulki. Nocą, gdy przez sen obróciłam się na brzuch, budził mnie ból. W dzień wykorzystywałam każdą rzecz nadającą się na przyrząd pomiarowy, by stwierdzić, że kulki się powiększają.

Postawiłam diagnozę: rak piersi. Wszyscy dorośli bali się tej choroby; umierało na nią wiele kobiet.

Teraz nadeszła kolej na mnie. Kiedy nie sprawdzałam, ile centymetrów przybyło mi w obwodzie klatki piersiowej, ciągnęłam się za włosy. Wiedziałam, że wypadają, jak się ma raka. Ja nie doszłam jeszcze do tego stadium: chociaż szarpałam bardzo mocno, dobrze się trzymały, co oznaczało, że czeka mnie jeszcze wiele cierpień. Nawet ty nie mogłeś mnie uratować.

Niepokoiliś się, że codziennie płaczę, groziłeś, że powiesz Paule. Zabraniałam ci.

Przecież i tak miała się wkrótce dowiedzieć.

Powtarzałeś, że nie powinnam niczego przed tobą ukrywać. Mimo to byłam nieprzejednana. Tak upłynęło kilka tygodni. Nie pomagała nawet tabliczka mnożenia; nie mogłam się już skupić na niczym innym. Ciężar był zbyt wielki, kilka razy omal ci o nim nie powiedziałam, ale w ostatniej chwili opuszczała mnie odwaga.

Dla ciebie chciałam być dorosła, taka jak dziewczyny z twojej klasy, które już nosiły staniki. Jak miałam się nie bać, skoro moje piersi były chore, zanim zdążyły wyrosnąć? Nie wchodziłam już do sklepu rzeźnika, zatrzymywałam się na progu, bo nie mogłam znieść zapachu surowego mięsa.

Gorączkowo szukałam informacji, wynajdowałam najdrobniejsze wzmianki o postępach w medycynie. Może jednak uda się mnie uratować, choroba rozwija się powoli, może wynajdą szczepionkę.

W wieku dwunastu lat byłam przekonana, że umrę bolesną śmiercią, przed którą nie uchronią mnie żadne modlitwy, i że spocznę głęboko w ziemi.

Nie mogłam tylko zdecydować, czy wolę męczyć się w tej trumnie, którą stało się moje życie, czy raczej umrzeć od razu. Matka na pewno na mnie czekała, ale bałam się, że nie zdołam jej odnaleźć. Przecież niebo jest ogromne, a chmury nieustannie się przemieszczają. Z pewnością bym zabłądziła.

Paule i Fanny poszły do teatru, a ja ze strachu płakałam tak bardzo, że zmoczyłam całą poduszkę. Ani pot, ani łzy, nic nie mogło mnie uspokoić. Czułam się tak, jakby dziesięć dłoni ścisnęło i wykręcało moje wnętrzności; to mnie wyczerpywało. Pchnąłeś drzwi mojego pokoju, za tobą blade świeciła lampa w korytarzu, wyobrażałam sobie twoje kości policzkowe. Patrzyłeś na mnie poważnie. Nie mogłam już dłużej wytrzymać, delikatnie rozchyliłam koszulę nocną, odwróciłeś wzrok, błagałam cię, wzięłam twoją rękę i przyłożyłam tam. Gdy ją przycisnęłam, poczułam ból dotkliwszy niż po uderzeniu pięścią. Mimo to jeszcze mocniej wcisnęłam twoje palce w swoją skórę, głęboko, żeby zbadały rozmiar mojej choroby, poczuły mój bliski koniec.

Cofnąłeś rękę i mocno mnie przytuliłeś, tak jak lubiłam, jakbym mogła wniknąć ci pod skórę. Zacząłeś opowiadać bajkę o księżniczce z małym biustem, wymyślałeś ją na bieżąco, starannie dobierając słowa, by nie sprawić mi przykrości, palcem narysowałeś mi na piersi mur z blankami. Uspokoiliam się, dzięki tobie skończyło się moje cierpienie. A te dwie kulki ożyły.

Mówiłeś dalej, ale już nie słuchałam. W miejscu, gdzie przyłożyłam twoje palce, czułam pieczenie. Było bardzo przyjemne.

14.

Z moich piersi niewiele już zostało, pomyliłam się zaledwie o kilka lat, a lekarstwa nadal nie wynaleziono. Nie mogąc przewyciężyć choroby, lekarze przedłużają życie pacjenta, stosują najróżniejsze środki, które w końcu przestają działać.

Można konserwować maszynę i wymieniać części, ale nadchodzi dzień, gdy trzeba podjąć decyzję o wyrzuceniu jej na złom. Czy z człowiekiem nie mogłoby być tak samo? Przecież zwierzęta się usypia. Czy jesteśmy tak głupi, że nie zasługujemy na podobną wyrozumiałość?

Zanim się dowiedziałam, że przyjedziesz, marzyłam tylko o dawce morfiny, by pogрузić się w słodkim znieczuleniu i już nigdy nie obudzić. Wielu ludzi uważa eutanazję za największe zło. Niech zamienią się ze mną na kilka godzin, a potem porozmawiamy.

Od pięciu dni odgrywałam Sinobrodego, tym razem zdołałam cię wciągnąć w zabawę, obiecując krew i kobiety. Rozbawiając cię, bardzo dużo zyskiwałam.

Czy sprawiły to liście pomalowane czerwonym flamastrem, wyobrażającym krew? Chociaż promienie słońca przeświecały unoszący się w powietrzu pył, a wokół zieleniła się trawa, mnie nie opuszczało złe samopoczucie. Poprzedniego dnia zobaczyłam w koszu na śmieci kilka zakrwawionych podpasek, a Paule się spieszyła, gdy jej o tym powiedziałam.

Do diabła z Sinobrodym, nie mogłam już patrzeć na tę całą krew.

Tak czy inaczej, wszystko było sztuczne, nawet klucz, którym nie dałoby się otworzyć żadnych drzwi.

- Z takim zapalem rysowałaś te wszystkie plamy krwi - kpiłaś sobie. - Wypisałaś dwa flamastry. Co ci jest?

Moje upodobanie do efektów melodramatycznych wzięło górę.

- Paule niedługo umrze.

Przywykłaś do moich dziwacznych wypowiedzi, więc prawie się nie zdenerwowałaś.

Opowiedziałam ci o koszu na śmieci, podpaskach i zażenowaniu Paule.

Znałam linijki*. Można było przy nich rysować kreski i pokazywać coś na tablicy;

* Nieprzetłumaczalna gra słów: *règles* - miesięczka; linijki; zasady (przyp. tłum.).

mama miała taką dużą, którą bawiłam się w fechtowanie. Były też comiesięczne zasady: zapłacić sklepikarzowi, iść do kosmetyczki, zadzwonić do babci Clo, kupić bukiet białych róż, zmienić pościel.

Kiedy nauczyłam się czytać i pisać, wzięła dużą kartkę papieru i kazała mi sporządzić listę zasad, które sprawiłyby mi największą przyjemność.

Zachowałam tę listę, więc od razu ci ją odczytałam.

- Po pierwsze: „Mieć rękę, która drapałaby mnie po plecach.” Zrobić życzenie z zasady, to do mnie podobne. Po drugie: „Czytać wolniej, żeby nigdy nie zabrakło książek”. Dziwne, że napisałam to dopiero na drugim miejscu. Po trzecie: „Spędzać wszystkie wakacje z Lucasem w dużym domu”. Dlaczego tylko wakacje? Czytać dalej? „Jeść tyle pralinek Résille d'Or, ile będę chciała”. Jaki ze mnie żarłok! „Ciagle chodzić boszo i pływać nago”. Dwa w jednym.

Uśmiechnąłeś się, a ja już trochę mniej bałam się o Paule.

Opowiedziałeś mi o miesiączce.

- Okres mają duże dziewczyny. Wiedz, to nie jest szczególnie przyjemne. Wszystkie kobiety to mają, regularnie, co miesiąc. Krew płynie kilka dni. Miesiączkowanie zaczyna się około dwunastego, trzynastego roku życia. Ciebie też to czeka, dziwne, że twoja matka ani Paule nic ci nie powiedziały. To nie jest rana, nie ma żadnego niebezpieczeństwa, tylko potem trzeba uważać, żeby nie zrobić dziecka.

Dziecko w moim wieku! To było niepojęte! Próbowałam wyciągnąć z ciebie więcej informacji. Bez skutku. Zapewniłeś, że nade mną czuwasz, więc nie miałam się czego obawiać.

Nadal nie rozumiałam, skąd płynie ta cała krew. Uśmiełeś się.

- Podpaska nie pasuje do nosa, nie sądzisz, że lepiej ją wkładać między nogi?

Pewnie z powodu rozmowy o dziecku wybrałam ten moment, żeby ci się oświadczyć. Odpowiedziałeś „tak”, pod warunkiem, że pójdę do ślubu w białej sukni z trenem, który wystarczyłby dla co najmniej dziesięciu księżniczek, i koniecznie z rozpuszczonymi włosami. Pogładziłeś mnie po czole, tak jak kiedyś matka. Dręczyły mnie pytania, które chciałabym jej zadać. Bardzo za nią tęskniłam, zwłaszcza w chwilach szczęścia. Pomyślałam sobie, że podczas naszego wesela będzie patrząc, jak tańczymy, i na pewno usłyszymy jej śmiech dobiegający gdzieś zza gwiazd.

15.

Rosłam. Nie lubiłam bawić się z innymi dziećmi.

Koledzy z klasy zaczęli się naśmiewać, że nie jestem prawdziwą dziewczynką.

Podczas przerw i w stołówce zaszywałam się w kącie z książką.

Rano zapalałam światło, zanim zadzwonił budzik Paule, bo potrzebowałam lektury; dzień nie mógł się zacząć ani skończyć bez kilku przeczytanych stron.

W każdą środę po południu szłam do biblioteki. Czekałam na to cały tydzień, wśród książek żyło mi się lepiej. Lubiałam godziny spędzone w bibliotece, z dala od otaczającego świata. Wchodziłam tam z bijącym sercem. Najpierw wybierałam nowe książki na tydzień oraz takie do czytania na miejscu. Zawsze brałam ich za dużo, więc prosiłam bibliotekarkę, żeby odkładała je dla mnie na później. Nie zniosłabym, gdyby ktoś sprzątnął mi je sprzed nosa.

Dopiero wtedy zwracałam książki, pożyczone w poprzednią środę; zmuszałam się do tego. Żeby zatrzymać na dłużej te ulubione, czasami nie wypożyczałam nowych. Czytałam tylko powieści, nigdy nie miałam ich dość. Unikałam wszelkiego kontaktu z ludźmi, nie chciałam tracić ani minuty na rozmowy, nawet z bibliotekarką, którą, jak się domyślałam, intrygowała poważna, skrupulatna dziewczynka. Siadałam w kącie przy kaloryferze, patrzyłam na otaczające mnie książki i czułam się tak, jakbyś się do mnie uśmiechał.

Czasami, by dodać sobie pewności, liczyłam półki i książki na każdej z nich. Dużo tego było do czytania, ale martwiłam się, że książek nie wystarczy do końca mojego życia, powiedzmy do osiemdziesiątki. Trzy książki tygodniowo, cztery, jeśli liczyć wakacje, to w sumie czternaście tysięcy dziewięćset siedemdziesiąt sześć książek na całe życie. Choćbym nie wiem ile razy liczyła, zawsze uzyskiwałam ten sam wynik. Czytałam więc jedną stronę po kilka razy i zmuszałam się do przerw między rozdziałami, żeby przedłużyć lekturę.

Latem biblioteka była zamknięta, ale my na szczęście wyjeżdżaliśmy do dużego domu, gdzie nigdy się nie rozstawaliśmy. Moje urodziny przypadały na koniec sierpnia, więc wywalczyłam, żeby prezenty, oczywiście książki, dawano mi na początku wakacji.

Jednak w dużym domu czytałam mniej, bo kradłabym nasz wspólny czas.

Nasz śmiech rozbrzmiewał wszędzie: od stodoły po strumyk, od drogi trzech kamyków po łąkę przy murku. W niektóre noce potajemnie wychodziliśmy na dwór, żeby

posłuchać puszczyków i popatrzeć w niebo. Wolałam Oriona i jego pas niż Wielki Wóz. Mówiłeś mi o gwiazdozbiorach, a ja obserwowałam je, przytulona do ciebie plecami, z twarzą zwróconą ku niebu.

Opierałeś brodę na moim czole, i, patrząc w górę, znajdowaliśmy się w równowadze między niebem a ziemią.

Tego wieczora do Paule i Fanny przyjechali goście z owczarkiem niemieckim.

Oddaliśmy im nasze pokoje, więc rozstawiono dla nas łóżka polowe w salonie. Paule i Fanny uznały, że jeśli będą się stykać bokami, to wystarczy nam jeden koc. W salonie miał też spać pies.

Wieczorem, myjąc się, namydliłam się trzy razy, żeby być jak najczystsza w tę niezwykłą noc. Ubiegłego lata, gdy skończyłeś szesnaście lat, Paule stwierdziła, że jesteśmy już za duzi, by mieszkać w jednym pokoju. Dlatego ta noc miała być dla nas świętem.

Ponieważ nie było łazienki, myliśmy się nad kuchennym zlewem. Pochylając się nad nim, myślałam o koszuli nocnej, którą wybrałam na tę okazję: elastyczne ramiączka z falbankami można było nisko zsunąć, żeby odsłonić dekolt.

Podobnie jak wygodka na końcu drogi trzech kamyków, zlew dodawał uroku domowi; tutaj mycie wydawało się przygodą. Czasami widziałam nad ścianką twoją głowę. W nadziei, że znów ją zobaczę, stawałam na palcach, prostowałam się, wyciągałam ręce i posyłałam ci całusy.

Tego wieczora mieliśmy leżeć obok siebie. I razem zasnąć. Połączyć moje sny z twoimi - nie wyobrażałam sobie większego szczęścia.

Wszyscy poszli już spać, nawet pies zwinął się w kłębek. Drażniło mnie jego sapanie. Było jeszcze gorsze niż budzik Paule. Pomyślałam, że nigdy nie uda mi się zasnąć, zwłaszcza że owczarek uporczywie przyglądał mi się ze swojego posłania na środku pokoju. Dobrze, że przynajmniej on: chociaż obsunęłam ramiączka, ty odwróciłeś się do mnie tyłem. Głośno oblizawałam usta, bo wiedziałam, jak bardzo nie lubisz buziaków ze śliną. Żeby mnie skarcić, musiałeś się obrócić. A wtedy nawet pies poderwał się z posłania.

- Laure, jesteś całym światem - wymamrotałeś.

Potem zacząłeś dmuchać na moje ramiona, głęboko oddychając. Zanim dotknęłaś ustami mojej skóry, już poddałam się twoim pocałunkom.

Całowałeś dalej, odgarniałeś moje włosy, ustami odkrywałeś szyję. Drżałam, serce waliło mi jak młotem, a jednocześnie byłam spokojna; pewna i spokojna. Zanim cię dotknęłam pierwszy raz, już chciałam to zrobić ponownie, dotykać, potem przerwać, żeby znów dotykać. Cieszyłam się własną odwagą, uświadomiłam sobie, jak dobrze jest się

zatracić i zachowywać nieskromnie. Chcąc jeszcze bardziej upoić się naszą bliskością, zamknęłam oczy. Nie, to już nie był ten sam oddech, dołączył do nas owczarek. Intruz przerwał nasze pieszczoty.

Niebo zaczęło blednąć, dzień już niedługo miał dać mu kolory, wydekoltowana koszula osunęła mi się w dół, odsłaniając pośladki. Gdy zasypialiśmy, nadzy, usłyszeliśmy pianie koguta. Przekonałam się, jaki jesteś cierpliwy.

16.

Kiedy tak leżę, od kilku tygodni unieruchomiona w szpitalnym pokoju, mogę tylko wspominać. Jakby jedna wskazówka zegara zatrzymała się na lecie tamtej burzy, a druga na chwili twojego wyjazdu.

Przez wiele lat po tym zdarzeniu, aż do spotkania ze starym człowiekiem, nie mogłam słuchać gry fortepianu. Wykreśliłam ze swojego życia wielką przyjemność, jaką sprawiały mi harmonijne dźwięki. Twoją nieobecność odbierałam jako pustkę w miejscu, gdzie kiedyś była radość. Pewne utwory zaczęły mnie mierzić. Wiele razy bez słowa wyszłam z restauracji w połowie posiłku, gdy rozległy się pierwsze nuty jakiegoś koncertu.

W świecie, gdzie brak ciszy, wsłuchiwanie się w każdy dźwięk bardzo wyczerpuje. Jeśli człowiek nie skupi się na sobie, nieustannie czuwa. A od tego szybko się starzeje.

Upłynął kolejny rok, ja miałam książki, ty - fortepian. Ja też próbowałam grać, ale bez większych sukcesów, myliłam się w pasażach i wprawkach, palce sztywniały w kontakcie z klawiaturą. Twoje dłonie tańczyły na klawiszach jak na sali balowej, przeskakiwały z hebanowych na te z kości słoniowej. Paule była dumna z syna, Fanny z ucznia, a ja - z ukochanego. Gdy zaczynałeś grać, wszystkie trzy milkłyśmy, tak wielką przyjemność sprawiała nam twoja muzyka. Obserwowałam Paule, kiedy patrzyła na swojego syna, i chyba nigdy tak bardzo nie brakowało mi matki.

Nie nudziły nas nawet gamy. Bardzo szybko okazało się, że masz wielki talent. Odszedłeś z konserwatorium, gdzie przewyższałeś wszystkich geniuszem, wolałeś ćwiczyć sam, bez ustanku. Zanim dobrze opanowałeś jakiś utwór, narzekałeś, że grasz same fałszywe nuty. Fortepian chciał mieć cię na wyłączność, domagał się twojej niepodzielnej uwagi. Bałam się tych chwil, gdy królowała muzyka; była piękna, lecz groźna. Słuchałam ciebie i jej, stopionych w jedność; chwytalam twoje spojrzenia i uśmiechy, jakbym kradła je fortepianowi. Byłam głupia, przecież nigdy mi ich nie szczędziłeś. Po jakimś czasie zaczęłam wślizgiwać się w twoje szczęście, przepływałam między strunami jak węgorz w falach rzeki.

- Bez ciebie mojej muzyce brakowałoby głosu - zapewniałeś. - Jesteś moim instrumentem i moim wdziękiem. Przy tobie lepiej poruszają się moje palce. Muzyka mnie pochłania, ale sprawia też, że staję się lepszy.

Uspokojona tymi słowami, wracałam do książki i tak mijały nam wieczory, spokojne i intensywne zarazem.

17.

Myśli o tobie znów wywołują skojarzenie z matką. Ona jest jak lustro weneckie, patrzę przez nią na ciebie, choć mnie nie widzisz. Jeszcze nie. Ale już wkrótce to się zmieni.

Taki spokój i intensywność przeżyć dostrzegłam pierwszy raz na twarzy matki. Wtedy nie umiałam ich nazwać, ale już podziwiałam ich moc, która sprawiała, że matka była wspaniała jak nigdy.

Tamtego lata, przed burzą, pojechaliśmy do miasta, które nazywało się jak owoc: Cassis, czyli czarna porzeczka. Matka zaplanowała tę wycieczkę poprzedniej wiosny i od tamtej pory nie było ani dnia, żeby nie wspomniała o morzu. O swoim morzu, jak je nazywała.

Nie zgodziła się, żebyś nam towarzyszył. Kiedy zapytałam o powód, powiedziała, że bilety samolotowe są za drogie, ale to był wykręt.

- Bez Lucasa, tylko moja córeczka i ja - dodała po chwili, cichutko.

Pierwszy raz w życiu miałeś spędzić początek wakacji w dużym domu beze mnie. Matka miała mnie tam zawieźć po naszym powrocie z Cassis. Wyobrażałam sobie, że miasto jest fioletowe i słodkie, z falami zamiast chodników.

Jechałam tam jednak niechętnie, zmartwiona, że stracę część wakacji w dużym domu.

W miarę jak zbliżała się pora odjazdu, oczy mojej matki stawały się takie jak jej usta: uśmiechnięte. Dużo mówiła, podekscytowana, jakby nie zauważała mojego smutku z powodu rozłąki z tobą. Cieszyła się, ale wyczuwałam w niej też pewne zakłopotanie i niepokój. Wreszcie dotarłyśmy na miejsce. Niosłam najcięższą, ale i najładniejszą torbę z białej skóry. Według mnie, wyglądałyśmy bardzo sztywnie w nowych espadrylach i w okularach z przyciemnionymi szklami. A najbardziej cieszył mnie ucisk ramiączek mojego pierwszego dwuczęściowego opalacza. Kupując ten kostium, matka osłodziła mi rozstanie z tobą.

Najpierw był zapach. Namacalny, jak słony pył unoszący się w powietrzu. Można go było zlizywać z warg, zdrapywać ze skóry. Natychmiast nim przesiąkałam. Z Cassis zapamiętałam pragnienie, żeby zawsze być tyłem do miasta i widzieć tylko Morze Śródziemne. Przyglądałam mu się jednak poprzez twarz matki, przez wspomnienie jej szczęścia, które, jak się domyślałam, minęło bezpowrotnie.

- Laure, widzisz to światło na morzu? Pod koniec dnia będzie tworzyć więcej

obrazów, niż jest ich we wszystkich muzeach świata. Do morza nie wolno się rzucać. Nigdy się nie spiesz. Pozwól, żeby przyszło samo, żeby znalazło sobie miejsce w tobie; poczujesz je wszędzie, nawet w pośladkach, korzystaj z najdrobniejszej piśszoty. Szeroko otwórz oczy i naucz się łączyć z morzem.

Matka często mówiła rzeczy, których nie rozumiałam. Chociaż lubiłam gry słowne i dużo czytałam, byłam jeszcze dzieckiem. Zapomniała o tym, a może - pogrążona w melancholii - o mnie.

Przytulała mnie mocno, drżała pomimo upału.

Zaczęła mi opowiadać historię swojego życia, ale głos jej się załamał, gdy wspomniała o pewnym kraju. Jest jak nasze królestwo, pomyślałam wtedy. To chyba był jej rodzinny kraj, nazwała go Algierią. Gdy wypowiedziała to słowo, z oczu popłynęły jej łzy i spadły aż na moje usta. Tyle ich, że można się wykapać, pomyślałam, żeby zwalczyć jej smutek, który mnie ogarniał. W domu uwielbiałam się z nią kąpać, wanna nagle stawała się ciasna, opierałam plecy o jej piersi, wielkości moich piąstek, z twardymi sutkami i brodawkami ciemnymi jak znamię na mojej stopie.

W gorącej wodzie drapała mnie po plecach, aż dostawałam gęsiej skórki. Po jakimś czasie miałam bardzo pomarszczone opuszki palców.

Opalona skóra mojej matki była jeszcze ładniejsza niż zwykle, a piasek przesycił ją nieznanym zapachem. Tego dnia postanowiłam zapisać go sobie głęboko w pamięci, żeby zachować ślad.

Na twoje osiemnaste urodziny kupiłam wodę toaletową Sabie, czyli piasek, jedną butelkę dla nas dwojga, a raczej trojga, licząc wspomnienie mojej matki. To było w moim stylu: wybrać perfumy tylko ze względu na nazwę, kupić je, wcześniej nie wachając, i używać ich, jakby zostały stworzone specjalnie dla mnie. Choć nie mam już włosów, które przenosiłyby i wzmagaly ich zapach, skropiłam nimi szyję. Używasz ich jeszcze? Zawsze się dziwiłam, że w kontakcie z twoją skórą ten zapach stawał się wieczorowy. Sprawiałeś, że Sabie był tajemnicą. Na ramieniu mojej matki piasek mieszał się z potem i lśnił jak pachnący kwiat; wdychałam ten zapach, przesypując ziarenka między palcami.

Po tygodniach pobudzenia matka zrobiła się milczącą, zamyślona. Zapadał zmrok, nadciągała noc, więc nie mogłam dłużej czekać. Zdjęłam majtki, bo przecież ryby pływają bez bielizny.

Morze było zimne, znacznie zimniejsze niż woda w wannie, nawet gdy wystygła. Piana szumiała jak bąbelki szampana w kieliszku. Tak jak w wannie, nalało mi się wody do

uszu.

Pod wodą piasek był twardy, tworzył płaskorzeźbę z wypukłościami i wgłębieniami. Moją dłoń, rozgrzaną i zaczerwienioną od słońca, przeszyły tysiące szpileczek; od razu polubiłam to nowe uczucie. Kiedy zanurzyłam się po pępek, poruszyłam ręką i poczułam opór, jakby coś odpychało ją w tył. Włosy opadały mi na plecy, w wodzie stawały się gładkie i proste, oczywiście takie podobały mi się najbardziej. Z trudem otworzyłam oczy. Choć je wytrzeszczałam, nie mogłam prawie nic zobaczyć. Odkrywałam dno morza i panującą tam ciszę, która nie jest ciszą. Miałam ochotę oderwać stopy od piasku, sprawdzić, czy będę unosić się na powierzchni jak gąbka w wannie. Po tej pierwszej kąpieli postanowiłam, że kiedy dorosnę, kupię dla nas dom na brzegu morza. Równie piękny jak duży dom - i tylko nasz.

Przez następne dni matka uczyła mnie, jak kłaść się na falach. Słuchałam szumu morza, patrząc na słońce, zewsząd otaczał mnie błękit. Miałam nadzieję, że wkrótce będę mogła dzielić tę przyjemność z tobą. W następne wakacje nie pozwolę, żeby matka nam tego odmówiła.

Nie było następnych wakacji, to znaczy, wakacje tak, ale bez niej. A morza z tobą - nigdy.

18.

Moja matka pięknie wyglądała pod wodą, jej prawdziwe włosy przypominały glony, z uśmiechniętych ust wydobywały się bąbelki powietrza. Nie wiedziałam, czy można pić szampana w morzu, do tej pory tego nie wiem.

Wróciłam tam, sama, żeby cię szukać. Odnalazłam siebie.

Zaczęłam poszukiwania na brzegu Morza Śródziemnego. Czyż nie chcieliśmy tam jechać razem? Taki był nasz plan: mieliśmy wyjechać za pieniądze z twojego pierwszego koncertu.

Zabraniam sobie myśleć o życiu, które moglibyśmy prowadzić razem. Nie zastanawiam się też, jakim mężczyzną się stałeś. Chyba to wiem.

Matka dotrzymała słowa, zabrała mnie nad morze i przy okazji odbyła podróż sentymentalną. Potem odwiozła mnie do dużego domu; miała tylko czas, żeby przejść drogą trzech kamyków, poleżeć na murku i powiedzieć mi: „Do zobaczenia wkrótce!” Te słowa straciły dla mnie dużą część swojego sensu.

Słyszałam, jak babcia Clo mówiła Paule, że po ich przyjeździe do Francji mama często łykała różne pigułki. Nie kryła się z tym. Słynne różowe kulki pojawiły się niedługo później.

- Po wyjeździe ze swojej ukochanej Algierii - opowiadała babcia - twoja siostra już nie odzyskała swojego prawdziwego uśmiechu, jakby cała radość została tam. Po urodzeniu Laure na zawsze opuściła świat dorosłych. Z małą bawiła się w dzieciństwo, przedłużała je sobie, sprawiała, że było idealne, ozdobiła je wspomnieniami. Nad morze wróciła tylko raz. Potem zostawiła ci Laure i odeszła.

Zawsze, gdy Paule i babcia Clo mówiły o mojej matce, w końcu zaczynały płakać. „Zawsze” nie oznacza „często”. Unikały mówienia o niej. Jakby była raną, skaleczeniem, którego nie wolno dotykać, bo gojenie dłużej potrwa i pozostanie większa blizna. Choć upłynęło niemal trzydzieści lat, moja rana wciąż krwawi.

Wspominając matkę, nigdy nie potrafię opanować drżenia.

Tak samo dzieje się, gdy myślę o intarsjowanym kufrze, porzuconym w salonie dużego domu. Paule przechowywała w nim jej ubrania. Czuć je było naftaliną.

Chociaż nienawidziłam go otwierać, nie mogłam się oprzeć. Znalazłam parę butów na prawie dziesięciocentymetrowych obcasach, rozmiar 36! Trzymając jej buty w dłoni, zrozumiałam, jaka była drobniotka. A majtki i staniki... Przymierzyłam staniki. Podobało mi się, że były czarne. Odrzucały mnie tylko peruki, nie mogłam ich dotknąć. Było też jej zdjęcie, oprawione w ramki; przemieszczało się ze mną z pokoju do pokoju.

Ciężar milczenia przytłoczył moje dzieciństwo. Milczenie wszystkich w moim otoczeniu wywoływało we mnie niepokój, nie śmiałam zadawać pytań. Jak wyrazić cierpienie? Żebym zrozumiała to, co nie do pomyślenia, wypowiedziano mi tylko jedno słowo: wypadek. Było na tyle niekonkretne, że wszyscy uznali je za wystarczające.

Choroba? Zanim połknęła swoje lekarstwa, każdemu nadawała nazwę owocu, uśmiechając się do pustego talerza. Odżywianie tabletkami, czemu nie? Pod koniec, o czym świadczą zdjęcia, była bardzo chuda, więc uważałam za naturalne, że potrzebowała witamin. Myślałam, że w lodówce nie byłoby dość miejsca na kilogramy bananów, pomarańczy i kiwi, dla niej niezbędnych. Lekarstwa przynajmniej mieściły się w dłoni.

Dlatego wcale mnie nie martwiło, że tak mało jadła.

Opalała się godzinami, leżąc nieruchomo na swoim murku. Bardzo się różniła od Fanny, krzątającej się po kuchni, i Paule, uwijającej się w ogrodzie. One były dorosłe, a moja matka, jak ty i ja, pozostała dzieckiem.

Jeśli jednak nie zabiła jej choroba, tylko wypadek, to jaki? Od tych rozmyślań zaczął się strach. Nieobecność matki wywoływała we mnie niepokój, który narastał w milczeniu.

Spokój i intensywność... Trzeba było wielu lat, żebym je odnalazła - znów jako widz - na twojej twarzy, gdy grałeś na fortepianie.

Wkrótce zaznam ich w twoich ramionach.

19.

Dzięki wysokim pokojom, licznym, wielkim oknom i położeniu na uboczu duży dom jest idealnym miejscem do słuchania muzyki. Siedząc w klubowym fotelu, z nogami przerzuconymi przez jeden podłokietnik, całymi dniami patrzyłam na łąkę i słuchałam twojej gry.

- Najpierw muszę uchwycić ten koncert - mówiłeś - później to on ma mnie przykuć do swoich nut. Poddaję mu się, żeby lepiej go opanować. Grając, dotykam muzyki, mogę uderzać palcami lub cofać je.

Gdy uciekłeś, zamknęłam się w sobie tylko ze wspomnieniem twojej muzyki. Pozwalałam, żeby zawróciła mi w głowie, wyczekiwałam tych godzin, kiedy można umknąć czasowi i sobie samej. To było jak wejście w oko cyklonu zawieszony w szalejącej burzy. Hamowałam przyjemność w chwili, gdy ogarniała mnie całkowicie. Trzeba uważać, bo zatracanie się nie cierpi błędzenia.

Dzięki tobie czystość pozostała nietknięta, a przepaść wydawała się górą.

Tutaj jest moja żądza. Żaden inny mężczyzna nie zabrał mnie w miejsce, gdzie jeszcze na ciebie czekam. Dobrze mi tu.

Widziałeś, jak na ciebie patrzyłam? Czy wiedziałeś, że miałam do ciebie pełne zaufanie?

Mój uśmiech w świetle twojego jasnego śmiechu. Znałeś niewypowiedziane słowa natchnionego wiersza? Wiedziałeś, że drżałam, czując na sobie twój ciepły oddech? I palce, które umiały odpędzić smutek i zaczarować moją skórę?

Kiedy na mnie patrzyłeś, twoja łagodność stapiała się z moją. Nuty, które dla mnie poskramiałeś, nieuchronnie do mnie cię prowadziły.

Znałam twoje drżenie, gdy odsłaniałam szyję, twoje nieme westchnienia, gdy do ciebie mruczałam, powstrzymywane pieszczoty, gdy moja skóra dotykała twojej. Znałam twoją siłę, kiedy nasze słowa ustępowały ciszy.

Miałam piętnaście lat, ty byłeś już pełnoletni, a po domu nie biegał żaden owczarek niemiecki. Chciałeś dla mnie niezwyklej zwyczajności. Wszystkiego, co najlepsze, najprawdziwsze i najszlachetniejsze.

Muzyka się wznosiła. Interpretując drugi koncert Rachmaninowa, wypełniałeś nasze królestwo swoim marzeniem o mnie. Niestrudzenie poszukiwałeś spełnienia.

W świetle świec zarys moich loków spotykał się z konturem twoich palców; pochyliłam się do płomienia, wypłam kieliszek, potem drugi, myśląc o jedwabiu u szczytu moich ud.

Grałeś, a ja łagodnie wsunęłam się w twoją muzykę.

Pragnęłam, żeby przytoczył mnie twój ciężar, żeby nasze skóry wtopiły się w siebie nawzajem. Byłam gotowa, żebyś tam spojrział. Smakowałeś mnie powoli i bardzo delikatnie, przyciskałeś usta do mojego łona, zwilżałeś moje wargi, sprawiając, że się rozchylały. Nie zadawałeś mi bólu, byłam twoimi palcami i językiem. Dla ciebie miałam dwoje ust, czułam, że obrzmiewają jak po uderzeniu. Posuwałeś się dalej, głęboko. Już się nie bałam.

20.

Widziałam, jak zawałiła się nasza wygodka.

Dół, jak sądzę, na pewno już się przepelił. Z murka nie został nawet kamień, ale jego odcisk nadal jest wryty w ziemi, tak jak nasze pieszczoty wryły się w moje ciało.

Często dotykam moich kości pod skórą, tak bardzo wystają. Teraz wiem, jaka ręka trzymała moje wnętrzności, ścisnęła, nigdy nie puszczając, miażdżyła narządy, jak zgniata się suchy owoc. Karą za moją winę jest długotrwałe cierpienie. Jak żyć, gdy samotność zastępuje wszystko, co było? Najpierw odszedł ojciec, potem matka, wreszcie ty; czy naprawdę nie zasługuję na to, żeby być kochaną?

Pozostała pustka, dużo miejsca na smutek. Przynajmniej nie zwariowałam. Czy dziewczynka może przeżyć to, co z trudem wytrzymuje dorosły?

Rozglądam się dookoła i widzę chorych, których ciągle odwiedzają dzieci, żony, mężowie, ojcowie i matki, a także bracia i siostry.

Z dała od dużego domu zbyt często musieliśmy powstrzymywać naszą żądzę.

Podjąłeś studia na uniwersytecie, kiedy ja dopiero zaczynałam naukę w liceum. Żeby nie mieszkać za daleko ode mnie, zrezygnowałeś z pokoju w akademiku, tłumacząc, że koniecznie musisz grać na swoim fortepianie, który nadal stał u Fanny. W ten sposób przekonałeś Paule, by pozwoliła ci rano i wieczorem pokonywać czterdzieści kilometrów, dzielących jej mieszkanie w liceum od twojego wydziału. Paule i Fanny widziały w tej prośbie tylko zapał, cieszyła je twoja powaga i wytrwałość. Ale choć mieszkaliśmy razem, dojazdy, a przede wszystkim gra na fortepianie i pierwsze koncerty zajmowały ci bardzo dużo czasu. Załamalam się, nie wystarczyła mi obecność przy twoich ćwiczeniach. Bardzo pragnęłam słuchać twojej gry rozciągnięta na łóżku, naga i grzeczna. No, może nie za bardzo.

Książki nie mogły już stłumić mojego pragnienia cielesnej bliskości. Zaczęłam więc ćwiczyć mięśnie. Miałam bardzo smukłą sylwetkę, a chciałam być silna. Stałam się najbardziej sumienną członkinią klubu sportowego, do którego się zapisałam. Biłam rekordy. Świetnie radziłam sobie z ciężarkami. Na ramionach mięśnie rysowały mi się jak kręta rzeka, uda miałam jak z kamienia. Staralam się rozładować energię, nie chciałam cię nią przytłaczać. Musiałam pozwolić, żebyś doskonalił swoją grę na fortepianie. Żeby nie ulec pokusie i nie

przeszkadzać ci, narzuciłam sobie wojskową dyscyplinę. Intensywne ćwiczenia fizyczne dodawały mi pewności siebie. Z głośników płynął głos Glorii Gaynor, śpiewającej: *I will survive*, przetrwam. Przyjmowałam te słowa jako swoje.

Czekałam niecierpliwie na nasz powrót do dużego domu. Tam czekały nas wspólne poranki, dzień po dniu. Cały rok myślałam o tym, jak będę zgłębiać nieznane terytoria, pokonywać granice, na razie cudownie niedostępne.

Wyczułam, że nie przepadasz za makijażem, więc zagryzałam wargi, żeby stały się różowe, szczypałam policzki, by poprawić ich owal, smarowałam rzęsy śliną, żebyś zatracił się w moim łakomym spojrzeniu. Polubiłam swoje cienkie kostki, czerwieniłam się, myśląc o twoich dłoniach dotykających moich piersi; nie pozwalałeś mi patrzeć, jak twardnieją i nabrzmiwiają jednocześnie. Kiedy wyobrażałam sobie, jak dotykasz mnie językiem, przeszywał mnie dreszcz, niczym prąd elektryczny. Nasz sekret, a raczej mój, mieszkał we mnie. Rósł.

Wybierając dzień moich szesnastych urodzin, żeby ci o nim powiedzieć, byłam całkowicie nieświadoma tego, co miało się wydarzyć. Drogo za to zapłaciliśmy.

21.

Zdaniem Catherine jestem najcierpliwszą z pacjentek. Dobrze! Owszem, choroba nauczyła mnie cierpliwości. Kiedy ciało już nie reaguje, a gesty, przez trzydzieści lat wykonywane machinalnie, wymagają skupienia i wysiłku, trzeba zaprzestać walki. Inaczej człowieka ogarnia najpierw wściekłość, a potem zniechęcenie.

Skutkiem cierpliwości jest łagodność, wobec siebie i naturalnie także wobec innych. Łagodna kobieta zawsze jest cierpliwa.

Z niecierpliwości natomiast rodzi się brutalność; złościśmy się i atakujemy.

Czy Catherine będzie dobrą matką? Moja dała mi nie tylko loki i zielone oczy, ale też zaszczerpiła mi swój niepokój.

Przerażający smok podnosi łeb, gdy już myślimy, że go poskromiliśmy. Zajadle walczyłam z jego śmiertcioną siłą. Żeby doszła do kresu, trzeba było czasu, odosobnienia i wielkiej straty. W końcu stałam się kimś, kogo nic nie pokona. Uspokojoną kobietą, zniecka zaatakowaną przez chorobę.

Dzień zaczął się wcześnie. Patrzyłam na jagnię, nacierane, nadziewane kaszką z rodzynkami, zszywane grubą nicią. Podobało mi się, jak szybkim ruchem spiąłę mięso stalową szpilką. Siedząc na słońcu, przyglądałam ci się z podziwem. Trzymałeś zwierzę w dłoniach, trzeba było powiększyć palenisko.

Przyszli do nas ludzie z wioski, oferując pomoc. Kopaliście z zapałem. Na twoje pośladki pod tkaniną spodni patrzyłam z tym większą przyjemnością, że wiedziałam, jakie są jędrne. Przyglądałam się, jak kopiesz delikatnymi ruchami. Martwe oko zwierzęcia zaskwierczało w ogniu; jagnię piekło się długo i wolno. Wpatrywałam się w twoją ciepłą dłoń zaciśniętą na rożnie. Obracałeś jagnię, żeby każdy kawałek dostał tyle samo żaru.

Podeszłam trochę bliżej i wdychałam silny zapach spalenizny, bijący od pieczonego mięsa, przesiąkający już ubrania. Wyczułeś moje spojrzenie. Pozostali patrzyli na ciebie, odsuwali się, jagnię było twoje. Wbiłeś szpadkę w mięsień, nad kością, podniosłeś zwierzę. Zwalczyłeś pragnienie, by rzucić mnie na ziemię, w miękki piasek, podnieść mi spódnicę, odsłonić rudawy trójkąt i żarliwie się we mnie zagłębić.

Popołudnie dobiegało końca, na łąkę padł cień; słoma będzie świeżo pachniała,

położymy się na niej, kiedy już zdmuchnę świeczki.

Fanny upiekła torty i ciasta, tego wieczora świętowaliśmy moje szesnaste urodziny.

Za dużo wypiałam, zrobiło mi się niedobrze. Od ośmiu lat moje urodziny zbiegały się z rocznicą śmierci matki: dzieliło je tylko czterdzieści osiem godzin. Co roku bałam się tego dnia, jednocześnie go wyczekując, jakby musiał mnie odnaleźć i pochłonać.

Zanim rankiem zaczęliśmy piec jagnię, nie mogłam się doczekać chwili, gdy podzielę się z tobą tajemnicą. Ale nagle ogarnął mnie lęk, wyobraziłam sobie, że jestem zwierzęciem, które wszyscy zjedzą, pomyślałam o moim szarpanym ciele i tobie, moim oprawcy.

22.

„Kwiatek w lufie”. Zestawienie twoich słów wydało mi się tak niewłaściwe, że całą noc nie mogłam spać. Od dwudziestu lat nęka mnie bezsenność.

Atakuje z żelazną konsekwencją. Na próżno kombinowałam, próbowałam ją przechytrzyć, wkraczała bez pardonu. Nauczyłam się żyć z bólem kręgów szyjnych, na jego podstawie orientować się, która jest godzina w nocy, opóźnić chwilę wyciągnięcia ręki po budzik i sprawdzenia, ile jeszcze bezsennych godzin mnie czeka. Czasami, jakby na końcu długiego tunelu, kiedy mam bardzo przekrwione oczy, nadchodzi zbawczy sen, który zmazuje piętno zmęczenia.

Rano, zanim otworzę oczy, cieszę się, że spałam. Ulga trwa krótko, bezsenność czuwa. Często wystarczy tylko o tym pomyśleć, ucieszyć się, że znów mogę spać, a już wraca. Po pierwszych przegranych walkach zaczynają się pakty z wrogiem, odkrywanie jego zalet. Bezsenności zawdzięczam wiele refleksji i przeczytanych książek. Nocne rozmyślenia są jak żyzna gleba, w której zapuszczają korzenie nasze czyny. Identycznie jest z kwiatkiem, który wtykają w lufę żołnierze, z radością idący na wojnę, na śmierć. Zaczynam myśleć o ludziach podejmujących decyzję o własnym końcu. Do tego trzeba dużo odwagi lub nieświadomości.

Myślałam o matce, miałam mdłości. W końcu zebrałam się na odwagę. Ośmieliłam się wypowiedzieć właściwe słowo, a nie „wypadek”. Za dużo wypiałam, chciałam usiąść na trawie, ale osunęłam się na ścieżkę. Całe lata przekładałam z kieszeni do kieszeni ten przekłety kamyczek, który przypieczętował jej ostatnie słowa: „Do zobaczenia wkrótce!”

Do zobaczenia wkrótce! To nie było nawet ironiczne, tylko absurdalne. Kiedy byłam mała, często martwiłam się, że chciała mi coś przekazać. Może zachęcała mnie w ten sposób, żebym szybko się z nią połączyła. Do tej pory nie wiem, czy tak było. Jedno jest pewne: zawsze nosiłam przy sobie jej kamyczek.

Przez pierwsze miesiące nie wypuszczałam go z dłoni, ani pod prysznicem, ani nawet we śnie, przeszkadzał mi kroić mięso na talerzu.

Wszyscy goście, którzy przyszli zjeść jagnię z rusztu i świętować moje urodziny, byli szczęśliwi, uradowani. Ja po raz kolejny przypomniałam sobie o jej nieobecności. Tym razem wspomnienie miało niedobry smak whisky.

Oparłeś brodę na moim czole i patrzyliśmy w gwiazdy. Wciąż szukałam jej na niebie. Przeżyłam już więcej lat bez niej niż z nią.

Zapomniałam, jak brzmiał jej głos. Czy naprawdę był chrapliwy, jak mi się wydawało? Wszystko się zamazywało, nie jej twarz, nie, ale cała reszta, to co najważniejsze, życie, jej życie. Umierała drugi raz i to ja ją zabijałam. To słowo, „wypadek”, niosło w sobie wiele możliwości. Wyobrażałam sobie najgorsze okropieństwa. Moja matka stała się śmiercią, uczeptioną mnie kurczowo. Musiałam się od niej uwolnić, skupiłam się na twoim głosie.

- Twoje długie nogi, Laure, i ta dolina między nimi, lubię patrzeć, jak wsuwa się tam moja dłoń... Jutro znów będę wdychał zapach twoich włosów, otaczają mnie jak rój pszczół w palącym, sierpniowym słońcu. Późną nocą, na gorącym kamieniu, rozsunę twoje nagie uda.

Z powodu przyjęcia murek został огоłocony z pokrzyw. Paule i Fanny zaprosiły całą wioskę. Wszystkich: od dróżnika po mleczarza. Nie zadowalały się półśrodkami. Spotkały się z ludźmi, a jednocześnie uczciły moje święto, spraszając tłum gości.

Dotykałeś mnie tak, jak dotyka się wieczności; upajałam się tym, choć mdliło mnie na widok trzydziestu par stóp deptających naszą drogę trzech kamyków. Radość chyba wzięła górę, ale smutek nie ustąpił całkowicie. Byłam jak samotnik, który w tłumie czuje się jeszcze bardziej samotny; dobry nastrój wokoło spotęgował moją melancholię.

23.

Drzwi szpitalnego pokoju są jak ekran, na którym wyświetlam obrazy z myśli, na przykład położnika trzymającego pępowinę. Jesteśmy dziećmi, leżymy na podłodze i oglądamy program w telewizji. Ten program, *Przygody płodu*, pobudził moją ciekawość.

Patrząc na mocną pępowinę, zbliżamy się do siebie, a ja piszę „pępowinoserce” środkowym palcem na twoich ustach.

Nawet choroba nie zdołała stłumić mojego upodobania do gier słownych. Lubiałam uwodzić słowami, rzucać nimi jak lassem. Są moim głosem, kiedy milczę. W głowie spuszczam je z uwięzi jak pogromca dzikie zwierzęta. Mogę się nimi bawić godzinami, nie otwierając ust.

Dzisiaj to nie zabawa, oddaję się całym sercem i duszą.

Patrzyłeś, jak wypijałam kolejne kieliszki alkoholu. Paule i Fanny, zajęte gośćmi, nie zwracały na nas uwagi. Nie przeszkadzałeś mi w tłumieniu rozpaczki płynami - brązowymi, białymi i czerwonymi. Zaczekałeś, aż głowa opadła mi na splecione ręce, mając nadzieję, że zasnąły moje czarne myśli.

Zacząły mną szarpać mdłości, odgarnąłeś mi włosy, zanim dostałam torsji, a potem kazałeś żuć garść kwiatów, żeby zabić zły smak w ustach. Oparłam szyję o twoje uda i na niebie, tym przepastnym suficie, zobaczyłam jej śmierć. Skończyły się wątpliwości.

Jagnię zostało zjedzone i wszyscy goście sobie poszli. Po raz pierwszy, ku naszemu wielkiemu zaskoczeniu, Paule wspomniała o mojej matce. Podała mi list, pozostawiony dla mnie. Na kopercie rozpoznałam pismo matki: „Dla mojej księżniczki, kiedy skończy szesnaście lat”.

Zdmuchnęłam świeczki. Pomyślałam o muszli leżącej na grobie samotnego Cygana. Miałam dużo czasu. Czy list mógł zawierać coś, czego jeszcze nie wiedziałam? Czy mógł mnie zranić bardziej niż milczenie? Byłam zakłopotana i znużona. Paule i Fanny w końcu poszły spać. Połknęłam haust powietrza jak kawałek nieba. Razem przeczytaliśmy: „Bardzo boję się śmierci, lecz jeszcze bardziej tego, że nie będę miała siły cię wychować. Wolę odejść właśnie dlatego, że cię kocham. Wybacz mi, ale jestem u kresu, dokonałam wyboru, nikt nie ma prawa mi tego zabronić. Próbowałam tabletek, nie udało się, więc alkohol, żyły i woda.

Mam nadzieję”.

Była też druga kartka. Zawahałam się, odsunęłam ją trochę od siebie, jakbym chciała oddalić niebezpieczeństwo. Byłam jeszcze młoda i myślałam, że tym gestem zdołam się zabezpieczyć. Wstrząs był tak silny, że do dziś czuję ból. Nie pisała już o swojej śmierci, ale zrujnowała nam życie.

Zobaczyłam ją w powietrzu i nagle zaczęłam cię bić, po klatce piersiowej i twarzy.

Uchyłałeś się przed moim atakiem, cofałeś się, a każdy twój krok wzmagał mój żal. Wciąż wymachiwałam pięściami, wyrzucałam je w górę, w niebo, śledząc cię wzrokiem. Oddalałeś się tyłem, żeby nie stracić mnie z oczu.

Chwyciłam nożyczki, chcąc ją ukarać. Nie wiedziałam, że mam taką grubą skórę. Żeby przeciąć żyły, musiałam mocno naciskać, krew płynęła coraz szybciej, silniejszym strumieniem. Zaatakowałam drugi nadgarstek, kręcąc się w kółko. Przyskoczyłeś do mnie, zatamowałeś krew, oderwanym kawałkiem materiału zatrzymałeś życie, które już uciekało.

- Nie umrzesz, nie pozwolę ci - powtarzałeś.

Byłeś taki spokojny, bo jeszcze nie czytałeś drugiej kartki. Ostatkiem sił posunęłam ją w twoim kierunku: „Lucas nie jest twoim kuzynem, ale przyrodnim bratem. Macie jednego ojca”.

Zanim straciłam przytomność, zobaczyłam, jak drzesz kartkę na strzępy. Nie powiedziałeś już ani słowa.

24.

Miałeś rację, nie umarłam, nie naprawdę. Można umrzeć i żyć jeszcze długo. Miałeś rację i zarazem jej nie miałeś: zostawiłeś mnie. Teraz ty wybrałeś nieobecność i milczenie. Wyjechałeś.

Przez te wszystkie lata myślałam o tobie, o twoich dłoniach, długich i szczupłych, poprzecinanych seledynowymi żyłkami, z miękkimi opuszkami pod odciskami, charakterystycznymi dla pianistów.

Cierpienie zniechęca, ale też wzmacnia tego, kto jest silny. Byłeś wielkim pianistą, stałeś się najlepszym. Zacząłeś komponować, wiem. Wkrótce świat pozna twoją muzykę. Szukając cię, od rzeki do rzeki, od wyspy do wyspy, natrafiłam na twoje nuty i wyczytałam z nich dużo o naszym królestwie. To było wielkie szczęście znów usłyszeć w twojej muzyce nasze śmiechy, nasze czułe, porozumiewawcze szepty. Wszystko to zapisane na spiętych akoladami pięcioliniach. W muzyce usłyszałam naszą więź rzucającą wyzwanie czasowi, którego tak bardzo nam brakowało. Duma z naszej miłości na zawsze wyryła mi się w sercu.

Odsunąłeś się, zniknąłeś. Zdarzały się chwile, gdy z tęsknoty traciłam głowę. W swoim szaleństwie odważyłam się pomyśleć, że ktoś rzucił na nas czar, który można zdjąć. Jak Eliza w *Dzikich łabędziach* Andersena postanowiłam tkać wspomnienia z dzieciństwa, żeby przywrócić nam dawne życie. Wybiegłam na łąkę, pokrzywy przy murku, ścięte przed pieczeniem jagnięcia, zdążyły już odrosnąć. Niewiele myśląc, zaczęłam je zrywać gołymi rękami. Jak w baśni, chciałam z nich upleść długą koszulę. Dzięki temu poświęceniu, dzięki trudowi moich dłoni miałeś do mnie wrócić. Wynik dorównał mojemu szaleństwu: dłonie spuchły mi tak, że trzykrotnie się powiększyły, a od swędzenia dostałam gorączki. Maść nie pomaga na wszystko.

Pierwszy raz poczułam, że nie kocham matki. Dlaczego przed odebraniem sobie życia musiała napisać ten list? Dlaczego Paule, zgodnie z jej poleceniem, przekazała mi go tak późno? Dwie siostry spowodowały, że wyjechałeś, a także zabiły moją tajemnicę. Tak późne ujawnienie naszego pokrewieństwa ciężko zaważyło na naszym losie, przekreślając wszystkie możliwości.

W rodzinie, w której obowiązuje wiele zakazów, otwarte ich łamanie prowadzi do

bezlitosnej kary. Czy nasze matki nie chroniły nas, milcząc? Ale także dopuściły się nadużycia. Czy każdy ma prawo do prawdy? Pytania szarpały moje nerwy. Czy od zawsze nie wiedziałam, w jakich okolicznościach zmarła moja matka, i że mamy wspólnego ojca? Czy nie domyślałam się prawdy, chociaż była przede mną ukrywana?

Jeśli nasze marzenia z góry skazano na to, by były wyłącznie złudzeniem, to czy złudzeniem nie stało się także nasze życie?

Ratowały mnie myśli o naszym ojcu. On także na pewno został skrzywdzony przez moją matkę lub Paule. Staliśmy się towarzyszami w nieszczęściu. Niczego więcej nie mogłam od niego oczekiwać. Nie tęskniłam za nim, nauczyłam się żyć bez niego. Dla kogoś, kto mieszka na księżycu, zaćmienie jest naturalne. Ojciec postanowił nie wybierać pomiędzy dwiema siostrami. Cóż może mężczyzna wobec kobiety i jej tajemnicy? Kobieta dba o swój sekret, troszczy się o niego, chroni go. Mój żył krócej niż ich. Musiałam to zrobić. Z determinacją, bez zastanowienia. Tak było trzeba, żebym przetrwała.

Może uznasz, że źle postąpiłam, ale wtedy mój żal osiągnął apogeum.

Kolejny raz zwróciłam się do Paule, a ona znów zostawiła mnie samą z pytaniami. Może to lepiej, że wyjechała. Jedna szczelina w pancerzu mogłaby ją zabić. To wcale nie ukoiłoby mojego cierpienia, wprost przeciwnie. Nalegając, straciłabym ją. Wystarczyło, że pochowano moją matkę, a ojciec zniknął.

Zostawiając mi duży dom i wyjeżdżając z Fanny na drugą półkulę, Paule dała sobie szansę na osobiste szczęście. Oczywiście zawsze się o mnie troszczyła i zawiadamiała, co działo się w ich życiu. Wiedziałam, że otacza nas pole minowe, na które żadna z nas woli nie wchodzić, więc musiałam zagłębić się w sobie.

Mijały lata, mieszkałam zamknięta w dużym domu, zmagając się z własnym strachem. Stawiając mu czoło, zdołałam go oswoić i wyłonić się z ciemności, w których się pogryżłam.

25.

Muszę wytrzymać do twojego przybycia. Nie poddawać się. W końcu ustąpiłam i zgodziłam się, żeby Catherine zwiększyła dawki morfiny. Nie chciałam jej za dużo brać, dopóki się z tobą nie zobaczę, ale ból stał się tak wielki, że koniecznie muszę go uśmierzyć.

Czuję się tak, jakbym od palców u stóp do czubka głowy była jednym wielkim szyderczym grymasem bólu. Morfina działa natychmiast, grymas trochę ustępuje.

W swoim kwadracie nieba widzę przelatujący samolot. Żeby cię odnaleźć, latałam niezliczonymi samolotami, wydałam znaczną część kwoty uzyskanej ze sprzedaży mieszkania z błękitną księżniczką. Paule zablokowała pieniądze na moim koncie do czasu osiągnięcia przeze mnie pełnoletności. Dzięki temu niewielkiemu kapitałowi mogłam wyruszyć w podróż, uzbrojona w wytrwałość i gotowa na wszystko. Można wiele przeżyć za darmo. W podróży ograniczamy własne potrzeby. Z plecakiem na ramionach, *Komedią ludzką* w kieszeni i dobrym kapturem na niepogodę, odkąd skończyłam dwadzieścia jeden lat, długo podróżowałam, niewiele zyskując. Czas jest bezcenny i może być darmowy. Postanowiłam, że nie będę pracować, tylko po prostu żyć. W niektórych krajach jest to łatwiejsze niż w innych. Wybierałam je, dopóki nie poznałam luksusu. Natychmiast go zaakceptowałam. Nie ma nic lepszego niż подарowany luksus. Pasuje do mnie.

Czuję się lepiej: morfina nie leczy, ale dużo może.

Każdej wiosny łąka pokrywała się pierwiosnkami. Myśląc o ich korzonkach, znajdowałam w sobie siłę, żeby się nie poddać. Zwlekałam jeszcze rok, zanim wyruszyłam w pościg za tobą. Bałam się, że kiedy wyjadę z dużego domu, ty akurat wrócisz. Wreszcie poczułam się gotowa do drogi; parowcami i pirogami, pierwszą i drugą klasą, nawet łódką, byle dalej. Nie raz poradziłam sobie w niebezpieczeństwie, stawiałam czoło przeszkodom, tam, gdzie się to nie udawało, zostawałam trochę dłużej. Poznawałam morską pianę i rzeki. Nie wyobrażałam sobie, żebyś był gdzie indziej.

Najpierw popłynęłam na Korsykę, byłam pewna, że tam cię znajdę. Wsiadłam na prom w Marsylii i przez całą noc patrzyłam w gwiazdy. Odkąd postanowiłam podnieść głowę, czułam się lepiej. Patrząc na gwiazdziste niebo, sięgałam wzrokiem poza sufit. Pomagał mi księżyc. Kapałam się w jego świetle na spokojnym morzu, wyobrażałam sobie,

że razem z jego promieniami przenikam głębiny.

Zostałam na mostku, nie mogąc przerwać tej przyjemności, jaką sprawiała mi pierwsza noc na morzu. Odnalazłam spokój i intensywność, chciałam, żeby już nigdy mnie nie opuszczały. Decyzja należała tylko do mnie. Tak, powinniśmy razem przeżywać tę chwilę, powinnam czuć twoją brodę, opartą na moim czole, i twoje ramiona, obejmujące mnie aż do świtu, ale byłam sama, a płacz niczego by nie zmienił. Gdybanie i żal nie sprowadziłyby cię do mnie szybciej. Przeciwnie - osłabiłyby mnie. Pochyliłam się nad parapetem burty, wiedząc, że za jego srebrzystą powierzchnią rozciągają się lodowate otchłanie; nie cofnęłam się jednak. Tym gestem, w który włożyłam całą swoją siłę, pokonałam strach. Uznałam, że morze jest wystarczająco rozległe, by pochłonąć moje cierpienie.

Wróciłam wzrokiem do planet, czułam się lekka: mogłabym wspiąć się aż do nieba, ale było mi dobrze tam, gdzie się znajdowałam. I, pierwszy raz od dawna, nie chciałam niczego zmienić.

Przed świtem zeszałam do kabiny, postanowiłam nie oglądać na razie wschodu słońca i rozplamionego horyzontu. Odsunęłam tę przyjemność, chciałam jeszcze trochę o niej pomarzyć. Z pięknem trzeba uważać.

26.

Do szpitalnego pokoju nie przyniosłam nic osobistego oprócz mapy nieba, która zasłoniła całą ścianę po lewej stronie. Catherine często przystaje, żeby na nią popatrzeć. Lubi słuchać o moich podróżach.

- Proszę tu usiąść, Catherine. Kończy pani dyżur, prawda? Jeśli pani chce, zabiorę panią na Korsykę. Byłam w pani wieku, kiedy pojechałam tam po raz pierwszy. Wyruszyłam na poszukiwanie Lucasa. Żeby go odnaleźć, opuściłam dom, w którym żyłam zamknięta przez pięć lat. Lucas nie jest moim mężem, tylko bratem. A przede wszystkim moją wielką miłością, naprawdę niezwykłą. Robi pani dziwną minę! Z tym rumieńcem jest pani jeszcze ładniejsza. Moja matka i jej siostra często planowały, że zabiorą nas tam na cały miesiąc latem, ale tych zamiarów nie udało się zrealizować. Dlatego postanowiliśmy z Lucasem, że właśnie tam pojedziemy w naszą pierwszą romantyczną podróż. Tamtego przedwiośnia powietrze było słodkie i dobre. Na targu w Saint-Florent nawet ryby pięknie pachniały. Jest pani łasuchem, Catherine? Lubi pani czekoladę? Ja w dzieciństwie najpierw lekko ją lizałam, żeby mieć wrażenie, że jem dwa razy. Fanny zapisywała na karteczkach potrawy na cały tydzień. W poniedziałki czytałam po kryjomu, co czeka mnie w następne dni. Najdrobniejsza zmiana w jadłospisie sprawiała mi wielki zawód. Lucas o tym wiedział, więc zawsze prosił Fanny, żeby szybko przyrządziła pominiętą potrawę. Chciałam jeść pewne produkty tylko dlatego, że przepadał za nimi Lucas. Zaczęłam więc jeść skorupiaki i nauczyłam się je lubić. Gdy tylko znalazłam się na wyspie, zaczęłam szukać Lucasa. Wszędzie, od turni Bavelli po falezę Bonifacio. Zmuszałam się do wchodzenia w głąb lądu, ale zawsze wracałam na brzeg: czułam, że muszę dotykać i słuchać morza. Nad nim spędzałam spokojne, powolne godziny, których tak bardzo pragnęłam i potrzebowałam. Długo wpatrywałam się w jego wody, aż po horyzont. Ukochałam Morze Śródziemne dlatego, że fale rozchodzą się po nim bardzo powoli i wygląda, jakby spokojnie oddychało. Żeby sobie pomóc w poszukiwaniach, wzięłam zdjęcie, zrobione tuż przed naszą ostatnią wspólną nocą. Przedstawiało Lucasa pochylonego nad jagnięciem, z dłonią zaciśniętą na rożnie. Wysilek sprawiał, że wyglądał na starszego. Właśnie z tego powodu wybrałam to zdjęcie. Przygotowałam się bardzo solidnie: wzięłam kilka zafoliowanych odbitek w różnych formatach. Szybko się zorientowałam, że starzy ludzie tylko marzą o pogawędce. Dla osiemdziesięcioletniego staruszka taki list gończy to nie

lada gratka. Ludzie zachowują się różnie: albo zmyślają, albo udają, że próbują sobie przypomnieć. W obu przypadkach mają okazję porozmawiać. Uciekałam tym najbardziej gadatliwym, zostawiając zdjęcie.

Zahaczając o przepiękne wyspy Lavazzi, dotarłam na Sycylię. Dni upływały mi w niezmiennym porządku. Najpierw kładłam się nad morzem, jeszcze uspionym w ramionach rozczochranego nieba. Później wypijałam kilka filiżanek gorącej herbaty i jadłam owoce, dużo owoców. Wędrowałam brzegiem, z przyjemnością dotykając stopami morskiej piany. Lubiłam długo iść tuż przy morzu, zanim się w nim zanurzyłam. Intymne i nieznanne jednocześnie, przypominało moje pieszczoty z Lucasem. Mocno naciskając piasek piętami i palcami, szłam daleko, jak najdalej. Pierwsza kąpiel dnia dawała mi siłę do rozmów ze starszankami, do zmagania się z obojętnością nastolatków oraz z ciekawością młodych i starszych. Najgorsi byli mężczyźni w dojrzałym wieku: natychmiast mnie podrywali. W najlepszym razie byli nietaktowni, w najgorszym - wulgarni. Nie znosiłam tych zakamuflowanych podchodów. Szybko nauczyłam się rozpoznawać oszustów. Byłam wobec nich szorstka. Miałam już swój bagaż straconych złudzeń, mogłam więc zwątpić w szczęście, czuć, że mi się nie należy, bać się, że je stracę. A jednak nic nie przeszkodziłoby mi w dalszym poszukiwaniu szczęścia i, co się z tym wiąże, Lucasa. Byłam niestrudzona. Przez trzy spędzone tam sezony jadłam jeżozwierze i pieczone ryby, nigdy nie miałam dość tych prostych potraw. Alkohol piłam dopiero po zmroku. Nigdy nie zaniebdywałam sjeisty, bo zauważyłam, że w tych chwilach moje myśli niezmiennie nawiedzał Lucas. Wystarczyło zamknąć oczy. Dzień kończył się kąpielą w morzu. Gdy już upłynął, jak sen, mogła zacząć się noc. Piłam pierwszy kieliszek. Noce wytrącały mnie z równowagi; mniej się ich bałam, gdy przytępiłam zmysły i widziałam jak przez mgłę. Tylko tak mogłam zobaczyć moją miłość. I, zamykając oczy, nawet w nią wierzyć. Pod koniec jesieni zastanawiałam się, dokąd pojechać dalej. Los wskazał mi Brazylię. Jest pani tu jeszcze, Catherine? Wyszła pani? Tak tu ciemno! Wydaje mi się, że to ty przyszedłeś, Lucanie. Dobrze? Tylko chwilę... Udawajmy, że to ty. Wiedziałam, że nie znajdę cię w Ameryce Łacińskiej. Pewnie dlatego tam się wybrałam: żeby już nie czuć tych nieznośnych palpacji, kiedy zdawało mi się, że rozpoznaję twoją sylwetkę na zakręcie ulicy, ani drżenia, gdy gdzieś za plecami słyszałam głos podobny do twojego. Musiałam od ciebie odpocząć, bardzo tego potrzebowałam. Nie kochałam cię mniej, o, nie. Próbowałam tylko odczarować czekanie. Nie ma nic gorszego niż czekanie. Nie straciłam nadziei. Przeciwnie, odzyskiwałam siły, żeby lepiej się czuć, gdy cię odnajdę. Moja wiara w nas była niezachwiana. Spędziłam kilka tygodni w Rio, a potem wyruszyłam w głąb kraju. Jadałam w barach szybkiej obsługi, nigdy nie zostawałam dłużej niż dwie noce w jednym

miejscu. Nie chciałam z nikim rozmawiać. Gdy zadawano mi pytanie, odpowiadałam szorstko, starałam się nie patrzeć ludziom w oczy. Pomagały mi w tym książki. Podczas długich podróży autobusem po tym rozległym kraju odrywałam się od lektury tylko po to, by wbić wzrok w jakiś punkt na horyzoncie. Łatwo jest kontemplować nieskończoność: wystarczy nigdy nie tracić jej z oczu. Na dworcach planowane kilka minut oczekiwania na przesiadkę mogło się zmienić w cały dzień opóźnienia. Moją uwagę przykuwali tylko nędzarze, pijani i otepaliali, w jeszcze gorszej sytuacji niż moja. Nie wdawałam się w rozmowy. Wystarczało kilka słów, żeby kupić jedzenie. Przez całe tygodnie nie wypowiedziałam ani jednego pełnego zdania. Odizolowałam się od świata nawet bardziej niż zaraz po twoim wyjeździe. W naszym dużym domu odnajdowałam cię w każdym przedmiocie. Uciekając, zostawiłeś wszystkie ubrania. Czułam w nich twój zapach, robiłam sobie z nich poduszkę, wtulałam w nie twarz. Miałam też ulubione książki. Poruszające powieści, odpowiadające mojemu upodobaniu do tragedii i powagi. To było w moim stylu. Bohater jednej z tych książek, Martin Eden, przypomina sobie wiersz Longfellowa.

*Cicha jest morska głęb,
Spokojne wody śpią
- I tylko jeden krok
Plusk, bańka - wieczny mrok*.*

Martin uważał śmierć za ostateczne ukojenie bólu istnienia; postanowił więc się utopić. „Runął w ciemność. I, w chwili, gdy to zrozumiał, przestał rozumieć”.

Wróciła bezsenność, wywołując we mnie okrutne wrażenie podwójnego życia. Noc nie przynosiła mi zapomnienia, żadnego odpoczynku od bólu. Nie dano mi nawet kilku leczniczych godzin.

Pewnego pochmurnego ranka w Recife, patrząc na fioletowe prążki na niebie, postanowiłam opuścić ten kraj. Ostatni raz przejechałam przez Olinę, miasto, którego nazwa zapowiada piękno, choć ja nie znajdowałam tam nic ciekawego i, pod ciężkim niebem, ruszyłam w dalszą drogę. Mimo wszystko wybrałam życie.

* Przetłumaczył W. Lewik (przyp. tłum.).

27.

Przez jakiś czas nie jeździłam nad Morze Śródziemne. On wołał Erytreę i jej morze, czerwone od koralowych lasów, gdzie błazenki mijają się z ustniczkami w ponurym cieniu mant. Płynąc za nimi aż nazbyt długo, wykorzystywałam cały zapas tlenu. Odkryłam urok głębiny. Czasami trudno się przed nim obronić, jest tak upajający. Nurkując w morzu, można wznieść się do nieba. Obciążona, kładłam się na piasku dna, pozwalając, żeby ogarnęły mnie ciemności, a potem wyjmowałam z ust zawór akwalungu. Schodząc w głębiny, opuszczałam ziemię, inaczej oddychałam; to było życie, ale nie naprawdę. Kusilo mnie. Chciałam nie odczuwać już potrzeby oddychania i zostać tam na zawsze. Znalazłam nowy sposób izolowania się od świata. Znowu przekraczałam granice i odkrywałam niebezpieczeństwo. Chociaż moja matka zmarła, ty żyłeś. Byłam nam winna pamięć.

Znów wyjechałam. Z okienka w samolocie patrzyłam, jak żaglowce z kolorowymi kadłubami stają się małe, a potem znikają. Sól wysuszyła mi wargi i włosy. Zaczęły przypominać słomę, którą wplątaną w moje loki, tak bardzo lubiłeś wachać. Każda moja myśl kierowała się ku tobie, ku naszemu dzieciństwu. Jego śmiertelne piękno tkwiło w tym, że je utraciliśmy. Dla niektórych powrót do dzieciństwa jest podróżą, trwającą aż do śmierci. Wiele osób stara się je odzyskać, dając życie nowemu istnieniu. Wyjeżdżając, rozwiązałeś za mnie problem wyboru.

Wymyśliłam już sobie wiele sposobów na ucieczkę od rzeczywistości. Mimo to wciąż szukałam nowych. Wydawało mi się, że Azja zaspokoi to pragnienie. Wybrałam Morze Chińskie. Dni mieszały mi się tam z nocami; moja świadomość pod wpływem opiatów stawała się atramentowoczarna. Przeżyłam kilka miesięcy, rozciągnięta na hamaku, pogrążona w całkowitej apatii. Było mi dobrze. Z dala od zgiełku cywilizacji, wreszcie odpoczęłam. Zamiast ubrania nosiłam różowy kawałek bawełny. Kiedyś miał kolor czerwonej porzeczki, ale z czasem stał się różowy jak bibuła, pochłaniająca moje zgaszone sny. Pociłam się bardzo, choć nie robiłam nic - tylko paliłam wonne ziele i piłam piwo. To połączenie w dzień wprawiało mnie w stan kojącego oglupienia, a w nocy pozwalało spać. Gdy tylko zaczęły się halucynacje, zrozumiałam, że muszę wrócić. Zdarzył mi się jeden upadek, ale odzyskałam jasność myślenia. Mając ponad trzydzieści lat, wkraczałam w lato życia. Ty, Lucasio, byłeś już w nim na dobre. Ja zbyt długo zwlekałam. Nie było czasu do stracenia.

28.

Doszłam do wniosku, że brak mi starej Europy. Z przyjemnością przeżyłam tam zimę, wreszcie podobną do zimy. Bardzo potrzebowałam pór roku i ich zmieniających się kolorów. Uznałam, że najlepiej będzie pojechać do Włoch. Przemierzałam miasta, nie zatrzymując się. Nie zasługiwały na taką obojętność. Ignorowałam je, powtarzając sobie, że wrócimy tam razem. Znów udałam się na południe, aż do Positano, gdzie szczęśliwie przeżyłam cały rok. Zamieniłam hamak na luksusowy hotel. Myślałam, że zostanę tam tylko parę dni. Hotel, o nieskazitelnie białych ścianach, dotykał dachem nieba, a jego fundamenty wylaniały się z morza. Zbudowany na tarasach, przypominających klify, w otoczeniu błękitu wydawał się jeszcze bielszy. Kilkuhektarowy teren wokół porastały wielkie cytrynowce; ich owoce miały grubą, pomarszczoną skórę, tak mięsistą, że nie dało się jej zerwać palcami. Cytrynowce, których zapach docierał aż do mojego pokoju, pokrywała czarna siatka, chroniąca owoce przed ptasimi dziobami. Z daleka wyglądała jak woalka na jasnych włosach wdowy. Kolację podawano na ogromnym dziedzińcu pod gołym niebem. Podziwiałam stamtąd księżyc w roli głównego żyrandola. Ogromny, w pełni, nadawał twarzom lśniąca bladość, kontrastującą z opalenizną i zaczerwienieniami, które ujawniał dzień. Rzadko wznosiłam głowę do księżyca; musiałam się trzymać z dala od moich upiorów, jeszcze przez jakiś czas.

Poznałam mężczyznę. Starego mężczyznę. Mieszkał tam od półwiecza. Obserwował mnie kilka tygodni, poprzestając na skinieniu głowy rano i wieczorem. Podobało mi się, że wierzył w wartość czasu, który daje władzę.

Po latach bez uniesień - małych latach, jak je nazywałam - zaznałam szczęścia bycia uwielbianą. Nie zakochałam się, o, nie, bez ciebie miłość była poza moim zasięgiem i chciałam, żeby tak zostało. Uczyłam się, a to było dużo, kochać samą siebie, być uwielbianą i brać bez zażenowania.

Stary mężczyzna pozostawił niezatarty ślad w mojej pamięci. Przez cały rok poznawał mnie, jak podróżnik nieznaną ziemię, przesuwając godziny niczym paciorki różańca słodczy. Jego pieszczoty miały kolor moich ust, lśnienie mojej skóry i zwinność mojego ciała. Po tobie nikt tak naprawdę mnie nie obejmował. Kwitłeś w moim wnętrzu; nie powiedziałam tego nawet staremu mężczyźnie. Niczego nie żądał, po prostu dawał. Nie czekałam, ale przychodził, nie zabiegałam o nic, ale mnie odkrywał. W czystym niebie odnajdowałam nasze

uniesienie. Spojrzenie starego człowieka nigdy mnie nie opuszczało, lecz to ciebie czułam, pulsującego pod moimi powiekami. Było tak, jakby miliony atomów, tworzących moje ciało, nagle położyło na ziemi swoje ciężkie torby pełne kamieni. Pływałam mniej, bo obawiałam się własnej siły, która mogłaby mnie unieść za daleko. Czułam się niepokonana. Wzięłam rozbrat z morzem, żeby lepiej je ogarnąć. Obserwowałam starego człowieka, który sprawiał, że odżyłam, ale to z tobą dzieliłam radość, jaką daje letnia woda, piana i fale, niespotykane nigdzie poza Morzem Śródziemnym. Wyzłacałam swoją skórę na słońcu, żeby bardziej ci się podobać, dla ciebie chciałam, żeby była gładka.

Piłam światło szeroko otwartymi oczami. Noc kryła moje odnalezione sny. Nie mówiłam nic o nas; tajemnica sprawiała, że naprawdę we mnie żyłeś. Przez to, że z nikim się nami nie dzieliłam, istniałeś po wielokroć. Spełniłam nasze marzenia z wieku nastoletniego, pragnienie spokojnych dni nad Morzem Śródziemnym. Myśli o tobie znów zaczęły mnie uspokajać i dawać mi niesłychaną moc, siłę pokoju. Byłam ponad, tuż ponad. Ponad iskrzeniem morza, ponad zapachem pieczonych kurek w koprze, ponad konikami polnymi, ponad gwiazdami w nocy. Rozwijałam się dzięki tym godzinom poświęconym pięknu i słodyczy. Jak ogrodnik mojego życia, stary mężczyzna dbał, żebym rosła prosto.

Przy nim znów stałam się w pełni kobietą, spokojną, zdolną szukać cię naprawdę. Otaczając mnie opieką, wymazał smutek i pomógł mi pogodzić się z ośmioletnią dziewczynką, z którą kręciłeś młynka w czasie burzy.

Musiałam znów wyruszyć w podróż. Natychmiast, jak ktoś zobowiązany przysięgą.

29.

Przyjedź szybko, Lucasie, opuszczają mnie siły. Musiałam położyć głowę na poduszce, bo miałam wrażenie, że moja szyja składa się w harmonijkę. Kości z coraz większym trudem znoszą ciężar prześcieradła, którym jestem przykryta.

Po kilku przesiadkach w spokojnych, włoskich portach weszłam na pokład dużego statku, który, tak jak lubię, zostawia za sobą długi ślad piany.

Podziwiałam tę linię, spienioną i prostą. Unosiła moje marzenia, utwierdzała w pragnieniu spotkania z tobą. Chciałam tego ze wszystkich sił.

Po latach zrozumiałam, że nic nie dzieje się przez przypadek.

Odnalezienie twojego śladu w miejscu, gdzie zniknęła Atlantyda, nie było zbiegiem okoliczności. Jak się później dowiedziałam, naukowcy nie potwierdzili tej lokalizacji mitycznego państwa. Jednak legenda sprzyja pięknu.

Na Santorini zobaczyłam morze jak nigdy przedtem.

I tam cię wreszcie odnalazłam.

30.

Na tej greckiej wyspie jest idealne miejsce: kawiarnia między niebem a morzem w miasteczku Ia. Można się tam napić najlepszej pod słońcem cafe frappé.

Zimą wyspę opuszcza mrowie turystów; latem wszystkie drogi są tam zakorkowane. Gwarantowane zdjęcie zachodu słońca i wakacyjny romans, trzeba też zachować trochę czasu na kluby na Mykonos, wycieczkę na Akropol i zakup pamiątek z Plaki.

Wynajęłam kamienny domek nad morzem. Układając rzeczy w komodzie w sypialni, natrafiłam na nuty nieukończonych kompozycji, które na pewno zostawił poprzedni lokator. Czytając je, bardziej niż twoje pismo rozpoznałam nasze królestwo. Nogi ugięły się pode mną i wreszcie mogłam płakać. Od tamtych łez w szkole, po śmierci matki, nie płakałam ani razu. Szloch w noc szesnastych urodzin to nie był zbawienny płacz, lecz przeciwieństwo wyzwolenia: rozpacz.

Płakałam aż do świtu. Na ziemię sprowadził mnie miauczący, zgłodniały kot. Od razu nazwałam go Mefistem. Czy był już na świecie, kiedy tu mieszkałeś? Głaskałeś go? Nie był płochliwy, przytuliłam go do siebie tak, jak przytuliłabym ciebie. Czulałam szybsze bicie jego serduszka - a może własnego serca.

Odczekałam jeszcze chwilę, zanim ośmieliłam się wyjść. Przecież mogłam cię spotkać na zakręcie uliczki. Myśl o tym, na co czekałam tyle lat, teraz mnie paraliżowała. Nauczyłam się nie ponaglać czasu. Chciałam pięknie wyglądać. Długo myślałam twarz. Włożyłam najdelikatniejszy sweter, szmaragdowy. Pozostałam wierna swojemu zielonemu sufitowi i zdołałam zachować nietkniętą nadzieję. Umalowałam powieki, rozpuściłam włosy, skropiłam je naszymi perfumami, brzuch też. Odzyskałam spokój, byłam gotowa.

Przyciągnęły mnie lampiony. Zmusiłam się, żeby zamówić musakę, specjalność zakładu, pozwoliłam sobie też na kieliszek retsiny; nie chciałam, żeby burczało mi w brzuchu, kiedy będziesz mnie rozbierał.

- Jesteś do niego podobna.

Kelner był przystojny, nawet bardzo przystojny, prosty jak struna, o dzikim spojrzeniu i zębach przypominających zwierzęce kły. Czerwona chustka opasywała jego kręcone włosy, takie same jak moje, pomyślałam. Patrzył na mnie prawie agresywnie.

Poprosiłam, żeby usiadł; rozejrzył się, dwie Angielki o mlecznej, piegowej cerze

kończyły właśnie kolację. Wzruszył ramionami, odwrócił krzesło i usiadł, dotykając kolaniem mojego kolana. Siedząc okrakiem, z ramionami pochylonymi ku mnie, był jeszcze ładniejszy.

Od razu zaczął mówić.

- Więc to ty, Laure. Na początku mówił przez sen, nazywał cię swoją ukochaną. W najgorszych koszmarach krzyczał, że jesteś jego siostrą. Musiałem go wtedy budzić, tak strasznie wył. Źle się czujesz? Drżysz. Zbliź dłonie do świeczki, zaraz się rozgrzejesz, zobaczysz. Wystarczy mieć ciepłe ręce, żeby nie zmarznąć. Nie ma go tu, już od sześciu lat. Bardzo nam go brakuje. Przeżył z nami dwanaście lat. Kiedy przyjechał, byłem chłopakiem. Ty i ja jesteśmy rówieśnikami, prawda? Był załamany. Zamknął się w sobie, dobrze wiedziałem, że jest inny niż większość ludzi. Później, dzięki fortepianowi, wszystko się zmieniło. Odzyskał równowagę. Przychodziliśmy słuchać jego gry. Jego muzyka wzruszała nas do łez, to było dobre. Przy nim znaleźliśmy przyjemność w płaczu, a to bardzo ważne. Chyba mnie lubił, szczególnie podobały mu się moje włosy. Teraz rozumiem dlaczego. Odstąpił swój fortepian, ale chciał zachować domek, wynając go na czas, kiedy przyjedziesz. Był pewien, że go odnajdziesz; myślę, że także dlatego pojechał z Amerykaninem. Pewnie było za wcześnie, żeby się z tobą zobaczyć, ale chciał, żebyś tutaj czuła się jak u siebie. Czekam na ciebie od sześciu lat. Wczoraj, kiedy przez okno w kuchni zobaczyłem, że prosisz o pokój, poradziłem szefowi, żeby dał ci klucz do jego domku. Milczysz, chcesz, żebym ci wszystko opowiedział?

Nie czekając na odpowiedź, przyniósł otwartą butelkę i kieliszek dla mnie. Dwie Angielki wróciły na kontynent, a on ciągnął swoją historię, czy raczej twoją. Nadszedł czas, żebym i ja ją poznała. Teraz jest moja.

31.

Czyli ty też musiałeś zamknąć się w sobie. I nie mogłeś rozluźnić ciała, udęczonego koszmarem odbierającym spokój dniom i nawiedzającym noc. Nie opuszczała cię tylko jedna myśl: nawet z daleka mogłeś nade mną czuwać, zdecydowałeś, że kiedyś do siebie wrócimy. Dzięki tej myśli tak naprawdę się nie załamałeś.

Ile razy patrzyłeś, jak kończy się dzień, jak zmrok pochłania światło? Pragnąłeś tej szarości, chciałeś w niej zniknąć, połączyć się z jej nieskończonością, stać się linią i punktem, niczym. Urosła ci broda, cały ten błękit był nie do zniesienia. Zamknięty w kamiennym domku zawieszonym w pustce, z butelkami po ouzo, walającymi się po podłodze, patrzyłeś w ściany. Ranił cię ich błękit, połączone odbicie nieba i morza. W głowie miałeś papkę, bo nas już nie było. Nie mogłeś się zdecydować na śmierć z dala ode mnie, ale nie potrafiłeś pozbierać tego, co zostało ci z życia, które nagle stało się ohydne.

Żona rybaka zaczęła ci przynosić owczy ser. Co rano, bez słowa, zostawiała na progu talerz i dzbanek wody.

Od dawna nie miałeś pieniędzy. Kiedy szedłeś po ouzo, wieśniacy dawali ci je za darmo, potrząsając głowami, nic nie mówiąc. Ocaliła cię ich inteligencja. Przyparli cię do muru, uniemożliwiając odmowę. Gdyby próbowali z tobą rozmawiać, być może utopiłbyś się, żeby uciec przed ich wścibstwem i pytaniami. Zdołali cię uspokoić swoją cierpliwością. Dali ci czas: to, co mieli najcenniejszego.

Pewnego dnia, gdy staruszka postawiła talerz, wykrztusiłeś słowo „dziękuję”.

Zdołałeś podziękować! Życie jest uparte! Zanim staruszka zamknęła drzwi, porwał cię jego wir. W słońcu mrugałeś powiekami. Śmierdziałeś.

Wszedłeś do morza, nie po to, by zniknąć, ale żeby się umyć.

Nogi niosły cię z trudem, ale kiedy się zanurzyłeś i pozwoliłeś, by morze otoczyło cię całego, uśmiechałeś się. A uśmiech już nie ranił.

Muzyka? Było jeszcze za wcześnie. Choć udawało ci się już uśmiechać, muzyka wymagała też płaczu; ty nie przelałeś ani jednej łzy.

Najpierw musiałeś się od nowa nauczyć radości z gwieździstej nocy i błogich, identycznych dni. Jesień i zima minęły i wróciły, jeszcze raz odeszły, znów się pojawiły. Dopiero wtedy zacząłeś wyzwalać się od żalu.

Nie wiedziałeś, kiedy i jak się spotkamy, ale ty także to rozumiałeś: niewinność ma trudne życie.

Z ramionami obmywanymi światłem słońca, zanurzony po brzuch w chłodnych falach, szedłeś, stopiony z linią horyzontu. Zapominając o wybrzeżu, uciekałeś od ziemi, pozwalając, by opanowała cię pustka głębi. Tak jak ja, lubiłeś pływać daleko, za daleko.

Poczułeś, że masz mięśnie. Uwielbiałeś je napinać, zmuszać do wysiłku, aż do całkowitego wyczerpania. Miałeś coraz głębszy oddech, wypełniający pustkę. Posuwałeś się naprzód.

W naszym wyścigu z horyzontem nie mieliśmy nic do pokonania - chyba tylko to, że moglibyśmy nie wrócić. Nie baliśmy się niebezpieczeństwa, ono po prostu nie istniało. Choć oddzielnie, wyruszyliśmy z jednego brzegu. Czy myśleliśmy, że połączymy się wśród fal?

Czekałeś na te godziny, poprzedzające noc, gdy słońce świeci łagodniej, a powietrze nieruchomieje. Morze wyrzucało ostatnich pływaków i należało tylko do ciebie. Lubieś pływać właśnie wtedy, w porze szarówki.

Pewnego wieczora dałeś się zaskoczyć. Nie odróżniałeś już plaży, nie widziałeś światła nielicznych budynków na brzegu, ale wiedziałeś, że klif jest skalisty. Horyzont za twoimi plecami również zniknął. Niezdecydowany, unosiłeś się na falach. To nie było wyzwanie: nie chciałeś już umrzeć.

Czy myślałeś, że to mnie widzisz na barce, która nagle pojawiła się metr od ciebie? Kadłub bezszelestnie ciął fale, wyciągnęła się do ciebie czyjaś ręka. Gdy tylko znalazłeś się na pokładzie, zagiel się wydał. W mroku widziałeś jakąś sylwetkę. Drżałeś na wieczornym wietrze, zgadywałeś, że ta osoba ma krągłe ramiona, wąską talię, brązową skórę. Nie mogłeś zwalczyć pragnienia, by jej dotknąć. Pod twoimi palcami sól rozsypała się jak gwiazdy na nocnym niebie. Dostrzegłeś błysk ostrych zębów odsłoniętych w uśmiechu. Pogłaskałeś pierś, na którą opadały kręcone włosy chłopaka. Pochyliłeś się, zachwiałeś na nogach. Płakałeś, a łzy nie były tylko łzami cierpienia.

Gdy wróciliście, zamieszkałeś w domku po prawej stronie kawiarni i zacząłeś szukać fortepianu. Muzyka grała w twoim sercu głośniejsz niż kiedykolwiek wcześniej.

Wieśniacy już cię zaakceptowali. Kiedy usłyszeli pierwsze nuty, przekonali staruszkę, do którego należał instrument, by ci go odstąpił.

Kelner się tobą opiekował. Gładząc wykonane z kości słoniowej klawisze fortepianu, opowiadałeś mu, jak dotykałeś mojej dziecięcej skóry i jak twoje palce pierwszy raz musnęły moje dopiero pojawiające się piersi. Jak zaczynałeś czekać na kobietę, którą miałam się stać.

Zmieniały się pory roku, coraz głębiej wbijałeś igłę w stwardniałą skórę na końcach

palców, tylko ona dawała ci poczucie upływu czasu. Zapominałeś o dniach, ignorowałeś noce, wszystko stało się szarością, poświęcałeś się wyłącznie muzyce, twojej muzyce.

Znów zacząłeś spać sam.

- Nie miał już dla mnie czasu - pożalił się kelner, kiedy zaczynaliśmy drugą butelkę.

Grecka noc spowijała nas ciepłym powietrzem, nasze loki się dotykały.

Ćwiczyłeś z zapalem, ale brakowało ci najważniejszego: spokojnej pamięci. Ani ty, ani ja nigdy nie chcieliśmy zapomnieć. Uspokoić przeszłość - tak.

- Z tarasu - ciągnął kelner - patrzyłem, jak przychodzi z daleka. Gra Lucasa przyciągała go jak magnes. Był wysoki i zwalisty, nosił poplamiony T-shirt z kołami potu pod pachami i przykrótkie szorty. Najtrudniej było patrzeć na sandały; nie na same buty, ale na paznokcie, okropny widok. Powiedział, że ma na imię Octave.

Na podstawie tego opisu wyobraziłam sobie Octave'a jako człowieka budzącego odrazę i fascynację zarazem. Przypuszczam, że kelner trochę przesadził.

Octave nie interesował się niczym poza muzyką. Jak powiedział kelnerowi, wydawało mu się, że słyszy nagranie z płyty, ale nie Byrona Janisa, Arthura Rubinsteina ani żadnego z innych pianistów, których tak podziwiał. Na palcach jednej ręki można policzyć wirtuozów, zdolnych do takiej interpretacji dzieł Rachmaninowa.

Sensem życia Octave'a było zbieranie rzadkich płyt, które stawały się dla niego cenne jak skarby. Gdyby FBI choć trochę interesowało się muzyką, przypuszczam, że Octave natychmiast zostałby szpiegiem i instalowałby mikrofony tam, gdzie najlepiej słyszą dźwięk.

Zbliżając się, Octave coraz lepiej uświadamiał sobie, co się działo. Nie mieściło mu się to w głowie: w nędznym domku, choć wśród ładnego błękitu, jakiś wirtuoz grał drugi koncert Rachmaninowa. Od kilku miesięcy przymierzałeś się do tego utworu, dopiero ośmieliłeś się go zagrać, gdy pojawił się ten zdyszany i owłosiony dziwak.

Chociaż nie wskazuje na to jego imię, Octave jest Amerykaninem. Uwielbia hamburgery, ale jeszcze bardziej smakuje mu muzyka. Nie chciał się z tobą rozstać. Zagroził, że jeśli nie zgodzisz się wyjechać z wyspy, zbuduje tu drugie Carnegie Hall.

Znowu wyjechałeś.

I ja opuściłam ten dom na Santorini, tak bardzo podobny do tego, który w dzieciństwie wymarzyłam sobie dla nas obydwójga.

Musiałam wrócić do Francji. Nie miałam wyboru. Nic nie mogło mnie powstrzymać, nawet morze - w moim wnętrzu zagnieździł się rak.

32.

Catherine głaszcze mnie po czole. Mówi do mnie łagodnym tonem.

- Czasami, przysypiając, bezwiednie wypowiada pani jego imię. Pani uśmiech jest wtedy tak słodki, że chciałabym go sobie wziąć. Z trudem powstrzymuję się, żeby nie dotknąć pani ust.

- Dlaczego Lucasa jeszcze nie ma?

- Już niedługo przyjedzie.

Po powrocie z Santorini musiałam przejść drastyczną terapię, więc długo nie oddalałam się od dużego domu.

Jak co roku, Paule i Fanny przyjechały na wycieczkę do Francji. Było to dla mnie lato konfitur i porażki. We trzy zbierałyśmy, zrywałyśmy, obierałyśmy, skrobałyśmy, mieszałyśmy, wypełniałyśmy. Ja sama też zbierałam - włosy, wypadające jeden po drugim; i zrywałam - skórę, łuszczącą się od naświetlań; stawałam się pusta. Udało mi się ukryć chorobę: wyjechały, niczego się nie domyślając.

To był dziwny rok. Czy, w pewnym sensie, nie przeżywałam nowej przygody? W każdym razie postanowiłam, że tak będę o tym myśleć. W przeszłości samotność była moim najgroźniejszym wrogiem, teraz okazała się sprzymierzeńcem. Walka z rakiem wymagała ode mnie całkowitej koncentracji. Aby pokonać chorobę, nie mogłam się od niej odwracać, bo zbyt mocno schwyciłaby mnie za gardło. Nazywałam chorobę: „Moja Gorgona”. Wraz z imieniem nadałam jej postać skrzydlatego potwora o ciele kobiety i węzłach zamiast włosów. Nie pozwoliłam, żeby jej spojrzenie zamieniło mnie w kamień. Dodając zaimek dzierzawczy, sprawiłam, że należała do mnie, tak samo jak ja do niej. Włochy, a potem Santorini, przywróciły mi chęć i potrzebę życia. Walczyłam niemal radośnie. Nie potrzebowałam już twoich ubrań, żeby zasnąć. Oddychałam swobodnie, nie bojąc się, że opanują mnie myśli o matce lub żal z powodu twojej ucieczki. Mimo to nie pokonałam swojej Gorgony. Rozrastała się we mnie z godną podziwu siłą i wytrwałością, nie przerywając ani na chwilę, nie chcąc zrezygnować. Tak było, dopóki nie poznałam kojącego działania morfiny.

Czasami ból ustępował i odzyskiwałam nadzieję. Walkę ułatwiał mi duży dom, dzięki swojemu odosobnieniu i wielkim oknom, które dawały mi poczucie jedności z przyrodą.

W następnym roku, kiedy znów przyjechały Paule i Fanny, nie było już mowy o konfiturach. Jak miały w zwyczaju, nie powiedziały ani słowa. Dowlokłam się do drzwi, żeby im otworzyć. Trzymając się gzymsu, widziałam, jak ich oczy wypełniły się łzami.

Zrozumiały, więc nie było sensu o tym rozmawiać. Pierwszy raz cieszyłam się z tej ich reguły milczenia.

Dla nich wykrzesalam z siebie resztki wesołości. Zakłócały mój porządek dnia, ale obserwowanie ich było dla mnie rozrywką. Pozwalałam sobie na to, w końcu ja też miałam prawo do wakacji. Jak przed laty, dla zabawy wyliczałyśmy, co Fanny ma w sobie kobiecego, a Paule - męskiego. Z wiekiem te cechy się nasiliły. Każda z kobiet żyła w ściśle określonych granicach. Jak byłoby z nami? U twojego boku mogłabym być zarówno gejszą, jak i błaznem.

Paule szalała w ogrodzie; wrywała jeżyny z wściekłością, z jaką chciałyby wykorzenić moją chorobę. W kuchni Fanny gotowała posiłki, złożone z samych świątecznych dań. Jadłam półgębkiem, ale nie robiły mi żadnych wyrzutów. W miarę postępowania choroby głód składał broń. Zwracałam wiele potraw, które kiedyś uwielbiałam. Dawno już minęły czasy przejażdżek samochodem; teraz na widok plasterka suchej kiełbasy robiło mi się niedobrze. No i nie była to już pora na śpiewanie.

Paule i Fanny przyjechały z Nowego Jorku, dobrego miejsca dla emerytek, które lubią się ruszać. Opowiadały mi o Empire State Building, a ja wypytywałam o Tiffany'ego.

Wyczuwałam w nich pewne zażenowanie, choć może tylko tak mi się zdawało. Nowy Jork leży w Stanach Zjednoczonych, a Stany to Octave, twój Amerykanin. Nowy Jork to także miasto Carnegie Hall. Być może tam zamieszkałeś.

Musiały wyjechać wieczorem. Prosiłam, żeby ze względu na mnie nie zmieniały swoich planów. Przesadnie podkreślałam, że w samotności łatwiej mi walczyć z chorobą. Chciałam uniknąć pożegnań. Nie będzie przyszłego roku, kolejnego lata w dużym domu. Dobrze to wiedziałam.

Fanny przygotowała tadżin z morelami, o który zawsze prosiłeś po ćwiczeniach na fortepianie. Bardzo dawno nie jadłam tego dania.

Zaskoczyła mnie. Mogłam się jednak domyślić, co będzie dalej.

33.

Wtedy jeszcze myślałam, że walcząc z chorobą, opóźnię jej nawrót.

Lekarze dawali mi rok, może dwa, a nawet trzy. Wyczerpałam limit.

Wypróbowałam wszystko, co miała do zaoferowania medycyna, nawet eksperymentalne leki. Z własnej woli na cztery lata cierpień stałam się królikiem doświadczalnym. Zgodziłam się na tę terapię, myśląc o nas. Chciałam żyć jak najdłużej, ale zdawałam sobie sprawę, że muzyka może opóźnić twój powrót. Czyż dzięki niej nie mogłeś się cieszyć nami do woli? Czyż nie wystarczyło ci kilka akordów, żeby przywołać nasze królestwo i osiągnąć spokój, nawet z dala od dużego domu i ode mnie?

Ożywiając lata szczęścia, muzyka przywracała naszą czystość. Nie mogłam się gniewać, że cię zatrzymywała.

Trzeba było walczyć ze wszystkich sił, więc robiłam to, Lucasie, z wojowniczością na miarę naszego uczucia.

Nadeszła jednak chwila, kiedy życie zapomniało o swoich obowiązkach. Opuszcza mnie. Muszę sobie radzić bez niego. Dlaczego jeszcze cię nie ma?

Poprosiłam Fanny o przepis na tadżin. Po co, dla kogo? Żeby udawać. Podała mi go, z trudem powstrzymując łkanie.

- Wybierz soczyste morele, posiekaj cebulę, podduś trochę, potem włóż do rondla jagnięcinę. Posyp kminkiem i curry, dodaj cynamonu i miodu, do smaku. Nie zapomnij o soli i pieprzu. Całość posyp garścią posiekanych migdałów, przykryj i duś na wolnym ogniu przez kilka godzin. Laure, to nic trudnego.

Rzeczywiście, chociaż nie miałam nigdy przyrządzić tego dania. Szkoda, pomyślałam, morela byłaby idealnym etui na złoty pierścionek.

Paule i Fanny były jeszcze bardziej milczące niż zazwyczaj, rzucały sobie krótkie spojrzenia. Denerwowały się, ale dlaczego?

Od kilku dni choroba dawała mi odpocząć. Ból trochę ustąpił, więc nie mogły martwić się o mnie. Szybko zrozumiałam, o co chodzi. Gdy pokój wypełnił się zapachem tadżinu, rozbrzmiały pierwsze nuty. Wyprostowałam się odruchowo i zamarłam. Oczywiście, drugi koncert Rachmaninowa. Rzuciłam się, żeby wyłączyć płytę, poślizgnęłam się i napotkałam

twoje spojrzenie. Skóra ci zbrązowiała. Usta już się nie uśmiechały. Oparłeś zaciśnięte pięści na zamkniętej klapie fortepianu. Na okładce płyty kompaktowej wyróżniało się tylko twoje imię.

Mój umysł zarejestrował wszystkie te szczegóły. Momentalnie zmaterializowałeś się w mojej dłoni. Palcem ucisnęłam twoją twarz, ruch był zbyt nagły, więc twoje pięści zgniotły się wraz z papierem. Nie myślałam już o tadzinie, morele na pewno były już miękkie. Osunęłam się na podłogę, szeroko otwartymi oczami patrzyłam w sufit, znów próbując przez niego przeniknąć, jak w dniu, gdy dowiedziałam się o śmierci matki. Zawsze wracała. Opuściła mnie na początku mojego życia, ale nigdy nie przestała mnie nawiedzać. Wpatrywałam się w pustkę i, aż do wyjazdu do szpitala, słuchałam twojej gry.

34.

Komponowanie rozwieje twoje wątpliwości. Muzyka będzie miarą twojego życia, narzuci mu rytm, prędkość, kierunek. Żeby być mistrzem w swojej sztuce, nagiąłeś się do zasad nałożonych na wielu artystów: odwaga i praca, chęć i pokora, wymagania i cierpliwość, nieustanna dyscyplina. Twoje zasady przyjemności są tyle samo warte co moje, bądź im wierny, a odwdzięczą ci się.

Dadzą ci spokój i integralność, dzięki nim będziesz człowiekiem z pasją, wolnym od swoich pasji.

Na wypadek, gdybyś nie zdążył, poprosiłam Catherine o ołówek i kartkę.

„Duży dom jest dla ciebie, załatwiłam wszystkie formalności. Przyrzeknij, że rozrzucisz mnie po łące. Muszę mieć tę pewność, by odejść w spokoju. W żadnym razie nie chcę spocząć w rodzinnym grobowcu. Ciernie nie mają siły wiatru. Chciałabym jednak, żebyś wrócił na tamten cmentarz po muszlę. Znajdziesz ją bez trudu, w tym samym miejscu, na pewno nieuszkodzoną wśród fioletowych kamieni. Lubię myśleć o moich prochach, opadających na jaskry i pokrzywy. Rozsypana na łące, nie będę daleko”.

Od pewnego czasu czuję narastający paraliż prawej strony ciała i silne dreszcze w lewej. Wydaje mi się, że jestem przecięta na pół, nie cierpię tego uczucia. Ani prawą, ani lewą dłońią nie mogę utrzymać ołówka. Tutaj się zatrzymam.

35.

Zrobiłeś karierę. Wyobrażam sobie, jak bardzo musisz gardzić tym słowem... ale jak nazwać sto koncertów danych w niecały rok?

Zaczęło się od płyty. Surowość twojej pozy na okładce uwodzi kupujących. Jak wiadomo, dziś nie jest najważniejszy talent, lecz wizerunek.

Wszyscy prześcigają się w wulgarności i bezwstydzie. Nie ustępując dyktatowi konsumpcji, wolałeś zaintrygować ludzi: to inny sposób, żeby zwrócić na siebie uwagę.

Od razu po przyjeździe do Nowego Jorku Paule i Fanny natknęły się na płytę nowego geniusza o zaciśniętych pięściach.

Po pięćdziesięciu telefonach dodzwoniły się do Octave'a. Wyszedłeś, żeby podziwiać łąbędzie w Central Parku. Czy tamta zieleń przypominała ci nasze wielkie drzewa wokół dużego domu? To chyba znak: nie na darmo narzuciłam sobie karę pokrzyw!

Gdy wróciłeś ze spaceru, Paule i Fanny udawały, że zapomniały o twojej ucieczce. Zauroczone przez Octave'a, czekały na ciebie jak dwugłosowa postać z przeszłości. Paule nie mogła się nadziwić temu grubemu jegomościowi i bogato urządzonemu salonowi z widokiem na Manhattan.

Przez cały wieczór nie padło ani jedno słowo na mój temat. Octave śmiał się, opowiadał anegdoty.

- Można powiedzieć - raportowała mi Paule - jak dzieciak w teatrze.

Octave sądził, że jesteś w pierwszym akcie swojego życia. Nie znał tekstu, ale podpowiadał ci kwestie. Ty, Paule i Fanny słuchaliście w milczeniu, jak marionetki. Moja nieobecność wypełniła całą przestrzeń, aż po dźwięczny śmiech Octave'a.

W drżącym blasku świec na ścianach pojawił się mój cień. Czy rozpoznałeś w nim dwoje dzieci związanych na całe życie? Następnego dnia miałeś wyjechać na kolejne tournée. Od pierwszego kontraktu wyraźnie zaznaczałeś: poza terytorium Francji. Nie zgadzałeś się na wywiady ani zdjęcia, z powodu których mógłbyś stracić anonimowość. Chciałeś nadal uciekać przed przeszłością.

Kiedy wychodziły, dałeś Paule swoją płytę.

- To dla Laure - szepnąłeś jej do ucha. - Żeby nasz związek stał się żyłą, pompującą krew do martwych serc. - Nie martwych, Lucanie, tylko uspionych.

Zanim Paule i Fanny wyjechały, kazałam im przyrzec, że zachowają moją chorobę w tajemnicy. Prosiłam, żeby nic ci o niej nie mówiły, błagałam. Nie miałam już sił grozić. Zgodziły się, choć z fałszywymi minami. Przecież nie podważa się ostatniej woli skazanej na śmierć. Czy chciałam oszczędzić ciebie czy siebie? Brak mi energii, żeby się nad tym zastanawiać.

Nie dotrzymały słowa, o czym świadczy twój telegram. Postanowiły przerwać łańcuch sekretów i jestem im za to wdzięczna. W ten sposób pomagają mi się uwolnić od mojej tajemnicy. Nasza przeszłość wreszcie cię dogoniła.

Jestem znużona, na chwilę zamknę oczy. Zanim otworzysz te drzwi, bez trudu rozpoznam dźwięk twoich kroków na korytarzu.

36.

Zostaniesz trochę w dużym domu? Tyle razy znalazłam schronienie w tych murach, gdzie jeszcze słycać echa naszych szeptów. Spędzałam całe godziny niedaleko stamtąd, skulona na płaskim kamieniu w potoku. Mówiłam sobie, że jego nurt w końcu doprowadzi cię do mnie. Zanurzałam dłoń w lodowatej wodzie i trzymałam ją tak długo, jak tylko się dało. Sądziłam, że im bardziej zeszywnięją mi palce, tym szybciej przyjedziesz, żeby je rozgrzać. Latem zbierałam źdźbła słomy, pocierałam sobie nimi ręce i kolana. Lizałam je, żeby poczuć smak świeżego mleka. Rozciągnięta na kłującym sianie w stodole, szukałam cię, żeby się na tobie położyć. W każde urodziny czekałam na znak. Moje serce rozpalało się na darmo. Dzięki niezachwianemu zaufaniu do ciebie zdołałam pokonać rozpacz, ale śmierć, teraz to wiem, jest cierpliwa i uparta.

- Kocham cię, Laure. Kocham cię.

- Nigdy mi tego nie powiedziałaś. Przytul mnie mocno, przytul moją głowę do swojego serca. Skórę masz gładką i delikatną jak dawniej. Podoba mi się, że jesteś ogolony, to mi przypomina dzieciństwo. Głaszcz moje włosy, jakbym jeszcze je miała. Tak bardzo lubiłam czuć w nich twoje dłonie. Aż drżałam. Wiesz, Lucasie, motyla z kwiatów już nie ma, skosili go i na jego miejscu zbudowali bar. Jakby motyl nie mógł odfrunąć i usiąść, gdzie zechce. Kochasz mnie? Powtórzysz to? Chciałabym jeszcze raz usłyszeć te słowa. Lucasie? Dlaczego nic nie mówisz? Odpowiedz mi! Lucasie, mów do mnie! Lucasie! Kto tu jest? To pani, Catherine?

To były twoje ostatnie słowa. Do śmierci celebrowałaś naszą miłość. Żeby spełnić twoją wolę, czerpałem odwagę z twojej siły.

Odnalazłem muszlę, rozpoznałem napis „Tu spoczywa anioł”, już trochę zatarty z powodu pogody. W słońcu cmentarz przypominał wielką szachownicę. Cień igrał na nagrobkach, podkreślał pewne punkty, odbierał światło ciałom pochowanych pod kamieniami. Podobał mi się perz porastający groby, jego zieleń jest czuła, żywotna i uparta. Wysypałem pył z różowego wnętrza muszli i, na tym cmentarzyku, wśród winorośli, usłyszałem morze. Po powrocie do dużego domu, naszego domu, wyciągnąłem fortepian na łąkę.

Zanim uleciałaś w powietrze, przesyłałaś mi się między palcami, dotknąłem twoimi prochami ust. Delikatnie potarłem jedną wargę o drugą, ostatni raz poczułem smak twojej skóry, ukochana. Złożyłem cię we wnętrzu muszli, zanurzyłem tam jeden palec, potem drugi, czułem gładkość i słodycz; to byłaś ty, ciepła i głęboka.

Miałem cię pod paznokciami, gdy moje palce grały nasz koncert.

Byłem ojcem, a właściwie nie, zdecydowałaś inaczej. Nasze dziecko nie mogło się urodzić. Nie rozumiałem wtedy, że jedna tajemnica może ukryć drugą, jedno milczenie - zastąpić inne. Kiedy ja umiałem tylko przeczytać jedno zdanie na pogniecionej kartce, w tobie było już życie, które mogliśmy uratować.

Dziś moje serce umiera, gdy muzyka narasta, nasila się, uczepiona tego związku. Muszę odwrócić jej bieg. Komponować życiem. Tak, komponować.

Dla Laurenta